

SOLŻENICYN ALEKSANDER

**JEDEN DZIEŃ IWANA
DENISOWICZA**

Zakład Nagrań i Wydawnictw Związku Niewidomych

Warszawa 1996

Warszawa 1989

Pisała: K. Pabian

Korekty dokonały: E. Chmielewska i I. Stankiewicz

O piątej rano, jak zawsze, młotkiem o szynę koło baraku komendy wydzwonili pobudkę. Drgający dźwięk słabo przenikał przez szyby, oszronione na dwa palce, i rychło zaciął - było zimno i strażnikowi nie chciało się za długo machać ręką.

Dźwięk ucichł, a za oknem nadal, jak nocą, kiedy Szuchow wstawał na kibel, było ciemno i tylko wpadało w okno żółte światło trzech latarni, dwu na zonie i jednej w samym łagrze.

Jakoś nikt nie przychodził otworzyć baraku, ani nie było słyhać, żeby dyżurni brali paraszę na drągi, do wylania.

Szuchow nigdy nie przesypiał pobudki, zawsze wstawał natychmiast. Do rozprowadzania więźniów było półtorej godziny czasu własnego, nie państwowego, i każdy, kto się nauczył żyć w łagrze, może sobie dorobić: uszyć komu ze starej podszewki pokrowiec na rękawice, zamożnemu więźniowi podać na pryczę suche walonki, żeby się tamten nie musiał fatygować na bosaka, wyszukiwać je ze sterty, albo przelecieć się pod magazyny, a nuż się komu uda przysłużyć, może co podnieść albo polecieć do stołówki zbierać ze stołów miski i znosić je do mycia - można podejść, ale tam chętnych wielu, walą tłumem, a najgorsze, że jeśli co zostało, to nie strzymasz, zaczniesz miski wylizywać. A Szuchow dobrze sobie zapamiętał słowa pierwszego swego brygadzysty, Kuziemina - starego wygi łagrowego, w czterdziestym trzecim siedział już dwunasty rok, i kiedyś przy ognisku na pustym wyrębie powiedział do swoich przywiezionych z frontu i uzupełnień:

- Tutaj, chłopcy, jest tylko jedno prawo - tajga. Ale ludzie i tutaj żyją. Wiecie, kto w łagrze zdycha? Ten, co miski wylizuje, ten, co liczy, że się w szpitalu zadekuję, a także kapuś.

Co do kapusiów, to oczywiście zasunął. Ci to się uchowają. Ale uchowają się za cenę ludzkiej krwi.

Na pobudkę Szuchow zawsze wstawał natychmiast, a dziś nie wstał. Już z wieczora czuł się nie najlepiej, ni to go trzęsło, ni to łamało. Nawet w nocy nie zdołał się zagrzać. We śnie raz mu się zdawało, że się na dobre rozchorował, raz że mu się polepsza. Bardzo nie chciał, żeby nadszedł ranek.

Ale nadszedł o zwykłej porze.

No i jakże się tu ugrzać? Okno lodem zaszło, po ścianach na styku z sufitem przez cały barak - a barak nie byle jaki! - biała pajęczyna. Szron.

Szuchow nie wstawał. Leżał na górnej pryczy, przykryty z głową kocem i buszłatem - a w podwinięty rękaw waciaka wsunął obie stopy naraz. Nie patrzył, ale słyszał wszystko, co się działo, tam gdzie spała jego brygada i w całym baraku. Oto ciężkie kroki w korytarzu, dyżurni wynoszą jeden z osiemdziesięciolitrowych kibli. Lekka niby robota, jak raz dla

inwalidów, ale spróbuj no wynieść, żeby się nie przelało! Teraz w siedemdziesiątej piątej brygadzie zwalili na podłogę przyniesione z suszarni walonki. A teraz w naszej. (Bo i naszej wypadła kolej suszyć walonki). Brygadzista i zastępca brygadzisty ubierają się w milczeniu, tylko prycza skrzypi. Zastępca brygadzisty pójdzie teraz do magazynu po chleb, a brygadzista do baraku, do dyspozytorów.

Ale nie ot tak, po prostu po przydział pracy, jak chodzi co dzień. Szuchow przypomniał sobie, że dziś ważą się losy - ich, sto czwartą brygadę, chcą z budowy warsztatów wykopać na nowy obiekt - Socgorodok. A ten Socgorodok to szczerze pole, zaspy śnieżne i zanim coś się tam zacznie, trzeba będzie robić wykopy, ustawiać słupy, naciągać drut kolczasty - dla samych siebie, żeby nikt nie uciekł. A potem budować.

Jasna sprawa, że przez miesiąc nie będzie się tam gdzie zagrzać, nic tylko szczerze pole. I ogniska się nie rozpali, bo i z czego? Tyraj do upadłego - jedyny ratunek.

Brygadzista zatroskany, idzie załatwiać. Żeby tam jakąś inną, mniej roztropną brygadę wepchnąć zamiast naszej. Jasne, że nie dogadasz się przychodząc z pustymi rękami. Pół kilo słoniny starszemu dyspozytorowi trzeba zanieść. Albo i kilogram.

Spróbować nie kosztuje, a nuż się uda w izbie chorych urwać chociaż jeden dzień? Łamie we wszystkich kościach.

I jeszcze jedno: który strażnik ma dzisiaj służbę?

Przypomniał sobie - służbę ma Półtora Iwana, chudy i długi czarnooki plutonowy. Na pierwszy rzut oka aż strach patrzeć, a kiedy pozna się go bliżej - najbardziej ludzki ze wszystkich strażników: do karceru nie wsadza, nie donosi na więźniów. Więc można jeszcze poleżeć, póki dziewiąty barak nie wyjdzie do stołówki.

Prycza zatrzęsała się, zachwiała. Dwóch wstawało naraz - nad Szuchowem baptysta Aloszka, a na dole Bujnowski, kapitan żeglugi wielkiej, były.

Staruszkowie dyżurni wynieśli już obydwa kible i zaczęli się wyklócać, który ma iść po wrzątek. Wyklócali się jazgotliwie jak baby. Spawacz z dwudziestej brygady warknął:

- Ej, zdechlaki! - i rzucił w nich walonkiem. - Ja was pogodzę!

Walonek głucho stuknął o słup.

Zamilkli.

W sąsiedniej brygadzie burczał zastępca brygadzisty:

- Wasyl Fiodorycz! W żywnościowym podpieprzyli, gady - były cztery dziewięćsetki, a są tylko trzy. Komu urwać?

Powiedział to cicho, ale cała brygada dobrze usłyszała, przytała się komuś wieczorem, od gęby odejmą.

A Szuchow leżał i leżał na sprasowanych trocinach swojego siennika. Żeby się jakoś przemogło: albo niech już na dobre zacznie trząść, albo niech przestanie łamać. A to ni tak, ni siak.

Póki baptysta szeptał modlitwy, Bujnowski wrócił z dworu, gdzie chodził za małą potrzebą, i oświadczył, niby do nikogo, ale złowieszczo:

- No, trzymajcie się, matrosy!

Trzydzieści stopni gwarantowane!

I Szuchow zdecydował - pójdzie do ambulatorium.

W tym momencie czyjaś uprawniona do tego ręka zerwała z niego waciacz i koc. Szuchow ściągnął buszlat z głowy, uniósł się. Stał przy nim chudy Tatarin, sięgający głową górnej pryczy.

Miał widać służbę poza kolejką i skradał się po cichu.

- Sz-osiemset pięćdziesiąt cztery! - przeczytał Tatarin z białej łaty na grzbiecie czarnego buszlatu. - Trzy doby karcu z wychodzeniem do pracy!

I jak tylko się rozległ jego charakterystyczny przytłumiony głos, w całym mrocznym baraku, w którym nie wszystkie żarówki się paliły i w którym na pięćdziesięciu zapluskwionych pryczach spało dwustu ludzi, wszyscy, którzy dotąd nie wstali, od razu ożyli i zaczęli się śpiesznie ubierać.

- Za co, obywatelu naczelniku? - zapytał Szuchow, przydając swemu głosowi więcej żalości, niż odczuwał.

Z wychodzeniem do pracy to jeszcze pół karcu. I jedzenie gorące, jak dla wszystkich, i za bardzo myśleć nie ma kiedy. Prawdziwy karcer to taki bez wychodzenia do pracy.

- Nie wstałeś na pobudkę?

Idziemy do komendantury - leniwie wyjaśnił Tatarin. I on, i Szuchow, i wszyscy dobrze wiedzieli, za co karcer.

Wymięta, pozbawiona zarostu twarz Tatarina nie wyrażała niczego. Rozejrzał się szukając następnej ofiary, ale już wszyscy, jedni w półmroku, inni przy żarówce, na dole prycz, i na górze, naciągali czarne watowane spodnie z numerem na lewym kolanie, a już ubrani opatulali się i spieszyli do wyjścia, żeby Tatarina przeczekać na dworze.

Gdyby Szuchow dostał karcer za co innego, jeśliby rzeczywiście zasłużył, nie byłoby mu tak przykro. A było mu przykro, bo przecież zawsze wstawał jeden z pierwszych. Wiedział, że u Tatarina żadne prośby nie pomogą. Więc nie przerywając próśb - po prostu dla zasady, naciągnął watowane spodnie (nad lewym kolaniem także była naszyta przybrudzona,

zniszczona szmatka, a na niej czarną zblakłą farbą wymalowany numer Sz-#854), włożył waciak (były na nim dwa takie numery - na piersi i na plecach), odnalazł swoje walonki w stercie na podłodze, włożył czapkę (z taką samą szmatką z numerem pośrodku) i wyszedł za Tatarinem.

Cała sto czwarta brygada widziała, jak wyprowadzano Szuchowa, ale nikt nie powiedział słowa - bo i po co? Brygadzysta może mógłby się wstawić, ale już go nie było. Szuchow też do nikogo się nie odezwał, żeby Tatarina nie drażnić. Zostawił mu śniadanie, domyśla się.

I wyszli we dwóch.

Była mgła, mróz zapierał dech. Dwa silne reflektory z odległych krańcowych wieżyczek były na krzyż po zonie. Paliły się latarnie zony i latarnie wewnątrz obozu. Było ich tyle, że całkiem zaćmiewały gwiazdy.

Skrzypiał śnieg pod walonkami, więźniowie szybko przebiegali załatwiając swoje sprawy - jedni do latryny, inni do magazynu, ten po paczkę, a tamten żeby oddać kaszę do indywidualnej kuchni. Wszyscy z głowami wciśniętymi w ramiona, zapatuleni w buszłaty, zimno im nie tyle od mrozu, co od myśli, że przez cały dzień oprócz mrozu nic ich nie czeka.

A Tatarin w starym szynelu z zaszarganymi błękitnymi naramiennikami szedł równym krokiem, jakby mróz się go nie miał.

Minęli wysoki płot z desek wokół Bur-u, murowanego wewnątrzłagrowego więzienia, minęli druty kolczaste zabezpieczające obozową piekarnię przed więźniami, narożnik baraku komendantury, gdzie na grubym drucie na słupie wisiała pokryta szronem szyna, minęli i drugi słup, na którym osłonięty od wiatru, żeby nie pokazywał za nisko, cały osypany igłami szronu wisiał termometr. Szuchow popatrzył z nadzieją na mlecznobiałą rurkę - gdyby pokazała czterdzieści jeden, nie pogoniliby do pracy. Ale dzisiaj na pewno nie dociągnęło do czterdziestu.

Weszli do baraku komendantury, prosto na wartownię. I tam się wyjaśniło - a Szuchow skapował to już po drodze - że o żadnym karcerze nie ma mowy, po prostu trzeba umyć podłogę na wartowni. Tatarin oświadczył teraz, że wybaczają Szuchowowi, i kazał wyszorować podłogę.

Mycie podłogi na wartowni było obowiązkiem specjalnego zeka, który pracował w zonie, dyżurnego baraku komendantury, i niczym innym. Ale dobrze już zadomowiony w baraku komendantury dyżurny miał dostęp do gabinetu majora i naczelnika reżymu, obsługiwał ich, nieraz słyszał takie rzeczy, o których nawet strażnicy nie wiedzieli, i od pewnego czasu uważał, że mycie podłóg u zwykłych strażników jest jakby poniżej jego

godności. Strażnicy zawołali go raz i drugi, potem zrozumieli, w czym rzecz, i zaczęli ciągać do podłóg to tego, to owego z baraków.

Na wartowni buzował ogień. Rozebrani aż do brudnych koszul dwaj strażnicy grali w warcaby, a trzeci, jak przyszedł, w przepasanym tułupie i w walonkach, spał na wąskiej ławce. W kącie stało wiadro ze szmatą.

Szuchow ucieszył się i powiedział Tatarinowi, dziękując za łaskawość:

- Dziękuję, obywatelu naczelniku! Teraz już nigdy więcej nie będę się wylegiwał.

Prawo tu obowiązywało proste: skończysz - idziesz sobie. Teraz, kiedy Szuchow dostał robotę, jakby i łamać go przestało. Wziął wiadro i bez rękawic - w pośpiechu zostawił je pod poduszką - poszedł do studni.

Paru brygadzystów, którzy przyszli do Ppcz, skryło się przy słupie, a jeden, młodszy, były Bohater Związku Radzieckiego, wlaźł na słup i przecierał termometr.

Z dołu radzili:

- Nie w bok chuchaj, bo się podniesie.

- Hujniesie!... Podniesie!... bez znaczenia.

Tiurina, brygadzisty Szuchowa, wśród nich nie było. Szuchow postawił wiadro, schował dłonie w rękawy i patrzył z ciekawością.

A tamten ochryple powiedział ze słupa:

- Dwadzieścia siedem i pół, gówno z chrzanem.

Jeszcze raz się przyjrzał dla pewności i zeskoczył.

- Do niczego, zawsze źle pokazuje - powiedział któryś. - Bo to w zonie dobry powieszają?

Brygadziści rozeszli się. Szuchow pobiegł do studni. Pod opuszczonymi, ale nie zawiązanymi nausznikami szarpał za uszy mróz.

Zrąb studni pokryty był grubo lodem, wiadro ledwie przeszło przez otwór. I linka była sztywna jak drąg.

Nie czując palców, wrócił Szuchow z dymiącym wiadrem na wartownię i zanurzył dłonie w studzienną wodę. Zrobiło się cieplej.

Tatarina nie było, za to strażników zeszło się już czterech, porzucili warcaby i spanie, dociekali, ile prosa dostaną za styczeń. W osiedlu z żywnością było kiepsko i choć kartki już dawno znieśli, niektóre produkty spożywcze sprzedawano strażnikom oddzielnie i taniej niż miejscowym.

- Drzwi szczelnie zamykaj, ścierwo! Wieje! - odezwał się któryś.

W żadnym razie nie należało z samego rana przemoczyć walonek. A przezuć się nie ma w co, choćby i do baraku pobiec. Różnie już z butami bywało, na niejedno napatrzył się Szuchow przez osiem lat odsiadki. Zdarzało się, że całą zimę trzeba było przetrwać w ogóle bez walonek, bywało, że nawet butów nie oglądali, tylko łapcie i gumiaki, ślad jak po oponach. Teraz z obuwem jakby się poprawiło. W październiku Szuchow dostał - a dostał, bo przyczepił się do zastępcy brygadzysty, jak tamten szedł do magazynu - buty nowe, z twardymi nosami, dość w nich było miejsca na dwie pary ciepłych onuc. Przez tydzień chodził jak solenizant, postukiwał nowiutkimi obcasami. A w grudniu na walonki przyszła pora, żyć nie umierać. Wtedy jakiś czort z buchalterii musiał szepnąć naczelnikowi: walonki niech sobie pobierają, ale buty muszą zdać. To nie w porządku, żeby zek miał dwie pary naraz. I musiał Szuchow wybierać - albo w butach całą zimę na okrągło, albo oddać buty i w walonkach, choćby w odwilż. Strzegł ich, towotem smarował, buty nowiuteńkie, eech, niczego nie było mu tak żal przez te osiem lat jak tych butów. Rzucili na stertę, wiosną już ich nie zobaczysz.

Teraz Szuchow tak się uchytrył - migiem wylazł z walonek, odstawił je w ką, ściągnął onuce - (łyżka brzęknęła o ziemię - jak szybko by się nie zbierał do karceru, łyżki przecie nie zapomniał) - i na bosaka, obficie rozlewając szmatą wodę, rzucił się pod walonki strażników.

- Ty! Bydlę! Ostrożniej! - zorientował się strażnik i podciągnął nogi na krzesło.

- Ryz? Ryz idzie według innej normy, z ryżem nie porównuj!

- Ile wody lejesz, durniu? Kto tak myje?!

- Inaczej nie da rady wymyć, obywatelu naczelniku! Brud się przecie wżarł...

- Widziałeś chociaż kiedyś, jak twoja baba podłogę myła, świniaku?

Szuchow wyprostował się trzymając ociekającą wodą ścierkę. Uśmiechnął się prostodusznie, pokazał resztki zębów przerzedzonych szkorbutem w Ust-Iżmie w czterdziestym trzecim, kiedy był trzy ćwierci od śmierci. Niewiele mu brakowało, miał krwawą biegunkę, wszystko przez niego przelatywało, wymęczony żołądek niczego nie przyjmował. A teraz z tamtych czasów tylko mu seplenienie zostało.

- Od baby odstawili mnie w czterdziestym pierwszym, obywatelu naczelniku. Już nawet nie pamiętam, co to baba.

- Jak to myją!... Nic, ścierwa, nie umieją robić, i nie chcą. Niewarci tego chleba, co się im daje. Gównem by ich karmić.

- Po kiego wała myć ją co dzień? Tylko wilgoć się wdaje. Wiesz, jak rób, osiemset pięćdziesiąty czwarty? Przetrzyj trochę po wierzchu, żeby tylko była wilgotna, i zjeżdżaj stąd.

- Ryż! Prosa z ryżem nie równaj!

Szuchow uwijał się.

Robota jak kij, ma dwa końce - dla ludzi robisz, rób porządnie, a robisz dla zwierzchności, to byle wygląd miało.

Inaczej wszyscy by dawno wyzdychali, wiadoma rzecz.

Szuchow przetaił deski, byle suchych miejsc nie zostawić, nie wyżętą szmatę rzucił za piec, naciągnął przed progiem swoje walonki, wodę wychlusnął na ścieżkę, którą władza zwykła chodzić, i na skrót koło łaźni, koło ciemnego budynku świetlicy popędził do stołówki.

Trzeba było jeszcze na izbę chorych zdażyć, znów cały był połamany. A jeszcze należało uważać, żeby przed stołówką nie nawinał się strażnikom na oczy. Było surowe polecenie naczelnika łagru: pojedynczych spóźniających się wyłapywać i sadzać do karceru.

Dziwna rzecz, przed stołówką nie gęstniał dziś tłum, nawet kolejki nie było. Wolna droga.

Wewnątrz parno jak w łaźni, kłęby zamrozu od drzwi mieszały się z parą znad misek z bałandą. Brygady siedziały przy stołach, tłoczyły się w przejściach, czekały na zwalniane miejsca. Przepychając się w tłoku dwaj albo trzej z każdej brygady nosili na drewnianych tacach miski z bałandą i z kaszą, wypatrując wolnego kawałka stołu. I proszę, jełop jeden, stoi jak słup, nic nie słyszy i masz, trącił tacę! Rraz, rrraz! - wolną ręką po karku go, po karku! Nie stawaj na drodze, nie wypatruj, gdzie by co wylizać.

Przy tamtym stole młody chłopak przeżegnał się, zanim jeszcze łyżkę zanurzył. To znaczy, że banderowiec, i to od niedawna w łagrze: starzy banderowcy, co długo tu siedzą, już o krzyżu nie pamiętają.

A Rosjanie to nawet zapomnieli, którą ręką się żegnać.

W stołówce ziąb, po większej części zeki w czapkach jedzą, ale bez pośpiechu, wyławiają spod czarnych liści kapusty rozpadające się kawałeczki rozgotowanych bezcielesnych drobnych rybek, ości wypluwają na stół. Kiedy już między miskami ości pełno, ktoś je zgarnie ze stołu, zanim siądzie następna brygada, i trzeszczą potem pod butami.

Wypluwanie ości wprost na podłogę uważa się za niestosowne.

Środkiem baraku biegły dwa rzędy ni to słupów, ni to wsporników, pod jednym siedział Fetiukow z brygady Szuchowa, pilnował jego śniadania. Fetiukow w brygadzie był jeden z ostatnich, niżej niż Szuchow. Na oko cała brygada jednakowa, czarne waciaki i numery na wszystkich takie same, ale w środku równości nie ma, każdy swoje miejsce zna.

Bujnowskiego nie posadzisz, żeby miski pilnował, Szuchow też nie za każdą robotę się weźmie, są gorsi.

Fetiukow zobaczył Szuchowa i westchnął ustępując mu miejsca.

- Całkiem zakrzepło. Już miałem jeść, myślałem, żeś w bunkrze.

I poszedł. Nie miał po co czekać, wiedział, że Szuchow mu nie zostawi, sam obie miski wyczyści na glanc.

Szuchow wyciągnął łyżkę z walonka. Cenił sobie tę łyżkę, zwędrowała z nim całą Północ, sam ją odlał w piasku z aluminiowego drutu, sam na niej wyskrobał: „Ust-Iżma, 1944”.

Potem zdjął czapkę z ogolonej głowy - zimno nie zimno, nie pozwalał sobie jeść w czapce - i zamieszał ustałą bałandę, żeby sprawdzić, co trafiło do miski. Okazało się, że tak sobie, średnio. Nie z samego wierzchu kotła, ale i nie z dna. Fetiukowa stać na to, żeby powylawiać ziemniaki z miski, kiedy jej pilnował.

Tyle pociechy z bałandy, że gorąca, ale ta zupełnie wystygła. Mimo to Szuchow jadł jak zawsze powoli, w skupieniu. Żeby kije z nieba leciały, z jedzeniem śpieszyć się nie wolno. Zek, jeśli nie liczyć snu, żyje dla siebie tylko te dziesięć minut rano przy śniadaniu, przy obiedzie pięć i pięć przy kolacji.

Bałanda była dzień w dzień taka sama, zależała tylko od tego, jakie zielsko przygotowano na zimę. W zaprzeszłym roku samą marchew zasolili i od września do czerwca była na okrągło zupa marchwiana. A w tym roku - czarna kapusta. Najsytniej jada zek w czerwcu, wtedy kończy się wszelkie warzywo i dają zamiast niego kaszę. A najgorzej w lipcu, pokrzywę do kotła krają.

Z małych rybek zostały głównie ości, mięso od nich odpadło, rozgotowało się, tylko na głowie i przy ogonie trochę go jeszcze było. Na wątlym rybim szkieleciku Szuchow nie zostawił ani kawałeczka mięsa, ani łuseczki, a jeszcze miażdżył zębami kręgosłup, jeszcze wysysał i dopiero wypluwał na stół. W każdej rybie zjadał wszystko - i skrzela jadł, i płetwy, i oczy zjadał, jeśli były na swoim miejscu, ale kiedy wypadły w gotowaniu i pływały w misce oddzielnie - ogromne rybie oczy - nie jadł ich. Naśmiewali się z niego przez to.

Dzisiaj Szuchow przyoszczędził, nie zachodząc do baraku nie pobrał chleba i teraz jadł nie zagryzając. Chleb można potem zjeść osobno, nawet lepiej.

Na drugie była kasza z magary. Zastygła w jedną bryłę, Szuchow odłamywał po kawałku. Magara, nawet gorąca, jest całkiem bez smaku, najeść się nie można, a co dopiero zimna - trawa, jak trawa, tyle że żółta, wygląda jak proso. Wymyślili, żeby karmić nią zamiast

kaszy, chińskie świństwo podobno. Ugotują, trzysta gramów dadzą i dobrze, kasza nie kasza, a biega za kaszę.

Szuchow oblizał łyżkę, wsunął ją po staremu za walonek, włożył czapkę i poszedł do izby chorych.

Niebo, z którego latarnie łagru przegoniły gwiazdy, nadal było ciemne. I niezmiennie dwa reflektory cięły szerokimi smugami obozową zonę. Kiedy zaczynano budować ten łagier, specjalny, straż miała do diabła i trochę rakiet świetlnych, jeszcze z frontowych zapasów, ledwie się ściemni - już się rakiety sypią, białe, zielone, czerwone, prawdziwa wojna. Później przestali strzelać rakietkami. Za drogo wychodziło, czy co?

Była wciąż taka sama noc, jak kiedy wstawał, ale łatwo można było wywnioskować z różnych drobnych szczegółów, że rychło zadzwonią na wyjście do pracy. Pomocnik Kulasa - Kulas, dyżurny w stołówce, na własny rachunek trzymał i żywił pomocnika - poszedł wołać na śniadanie barak szósty, inwalidów, tych co nie wychodzą na zonę. Stary malarz z bródką powlókł się do Kwcz po farbę i pędzelek, numery będzie malował, zaś Tatarin śpiesznie, wielkimi krokami przez plac apelowy poszedł do baraku komendantury. I w ogóle ludzi widać jakby mniej na dworze, znaczy leżą na pryczach, grzeją się wykorzystując ostatnie spokojne minuty.

Szuchow na widok Tatarina błyskawicznie schował się za węgiel baraku - drugi raz się napatoczysz - znowu się przypieprzy. Zresztą w ogóle nigdy nie wolno się zagapić. Trzeba uważać, żeby żaden strażnik nigdy nie widział cię w pojedynkę, zawsze w tłumie. Może właśnie szuka kogo do roboty, może nie ma na kim złości wyładować. Czy nie czytano w barakach zarządzenia: zdejmować czapkę na pięć kroków przed strażnikiem, a wkładać dwa kroki za nim? Poniektóry strażnik idzie jak ślepy, wszystko mu jedno, a znów dla innego to sam cymes. Ilu za te czapki do karceru posłali, psy przekłete! Postójmy już lepiej za węglem.

Tatarin przeszedł i już Szuchow ruszał w kierunku izby chorych, kiedy go olśniło, że przecież długi Łotysz z siódmego baraku kazał mu zająć dziś rano przed rozproszaniem po dwa kubki samosieja, co go miał kupić, ale Szuchow był taki zaganiany, że wyleciało mu to z głowy. Długi Łotysz dostał wczoraj wieczorem paczkę i do jutra może już nie mieć tytoniu, czekaj wtedy miesiąc na nową paczkę. A samosiej ma dobry, mocny w sam raz i w miarę pachnący. Bury jak trzeba.

Zirytował się Szuchow, aż przystanął, niepewny, czy nie zawrócić do siódmego baraku. Ale izba chorych była tuż, pobiegł truchtem w stronę ganku.

Głośno skrzypiał śnieg pod nogami.

Na izbie chorych, jak zawsze, w korytarzu było tak czysto, że aż strach brał stąpać po takiej podłodze. I ściany pomalowane olejną farbą na biało. I wszystkie sprzęty białe.

Ale drzwi gabinetów były pozamykane. Widać doktorzy jeszcze z łóżek nie powyłazili. A w dyżurce, przy czystym stoliku, w świeżutkim białym fartuchu siedział felczer, Kola Wdowuszkina, młody chłopak, i coś pisał.

Nikogo więcej nie było.

Szuchow zdjął czapkę jak przed władzą i z łagrowego przyzwyczajenia, żeby widzieć wszystko, czego widzieć nie powinien, nie mógł nie zauważyć, że Nikołaj pisał równiuteńko linijkami, jedna pod drugą, z odstępem od brzegu i każdą linijkę zaczynał z dużej litery. Dla Szuchowa oczywiście od razu było jasne, że to nie praca, tylko lewizna, ale co mu do tego.

- Więc... Nikołaj Siemionycz... coś jakbym zachorował... - powiedział Szuchow wstydliwie, jakby po cudze sięgał.

Wdowuszkina podniósł znad kartki wielkie, spokojne oczy. Miał białą czapeczkę i biały fartuch, numerów nie było widać.

- Czemu tak późno? Dlaczego nie przyszedłeś wieczorem? Przecież wiesz, że rano nie ma przyjęć. Lista zwolnionych już jest w Ppcz.

O tym wszystkim Szuchow wiedział. Wiedział też, że i wieczorem nie jest łatwiej się zwolnić.

- Ale widzisz, Kola...

Wieczorem, jak trzeba, to nie chce boleć...

- A co cię boli?

- Jak się tak zastanowić, to niby nic nie boli. Ale całego mnie rozbiera.

Szuchow był nie z tych, co się pchają na izbę chorych, i Wdowuszkina wiedział o tym. Ale miał prawo zwalniać rano tylko dwóch - i tych dwóch już zwolnił, pod zielonkawym szkłem na stole były zapisane dwa nazwiska i podkreślone grubą krechą.

- Dlaczego wcześniej nie pomyślałeś? Co ty tak, przed samym rozproszaniem? Trzymaj.

Wdowuszkina wyjął termometr ze słoika, do którego termometry były powtykane przez poprzecinaną gazę, otarł go do sucha i dał Szuchowowi.

Szuchow usiadł na ławce pod ścianą, na samym brzeżku, byle tylko nie przewrócić się razem z nią. Wybrał tak niewygodne miejsce nie naumyślnie nawet, a mimo woli okazując, że nie jest tu zadomowiony i przyszedł z powodu głupstwa.

A Wdowuszkina pisał dalej.

Izba chorych znajdowała się w najdalszej części zony, na uboczu, i żaden dźwięk tu nie docierał. Nawet zegarek nie tykał - zegarki więźniom nie przysługują, godzinę za nich zna naczalstwo. I nawet myszy nie skrobały - wszystkie wyłowił szpitalny kot, specjalista do tego wyznaczony.

Szuchow czuł się nieswojo w takim czystym pokoju, w takiej ciszy, przy jasnej lampie, przez całe pięć minut siedząc i nic nie robiąc. Obejrzał wszystkie ściany - były puste. Obejrzał swój waciak - numer na piersi wyblakł, trzeba poprawić, bo można podpaść. Wolną ręką potarł jeszcze zarost na twarzy, niezła szczecina, od ostatniej łaźni rośnie już przeszło dziesięć dni. A niech sobie. Za trzy dni znowu łaźnia, to wtedy i ogolą. Po co w kolejce do fryzjera czas niepotrzebnie tracić? Niby komu ma się tu Szuchow podobać.

A potem, patrząc na bieluteńką czapeczkę Wdowuszkina, przypomniał sobie Szuchow połowy szpital nad rzeką Łować, jak tam przyszedł, ranny w szczękę, i jak - wał nieszczęsny! - z dobrej woli wrócił do szeregów. A mógł z pięć dni poleżeć.

Marzy mu się teraz, żeby tak zachorować na dwa, trzy tygodnie - nie na śmierć i bez operacji, ale żeby wzięli do szpitala. Trzy tygodnie mógłby chyba leżeć i nie ruszyć się, a że karmią postnym rosołem - niech tam.

Ale przypomniał sobie Szuchow, że teraz i w szpitalu nie można się wyleżeć. Któryś transportem przyjechał nowy doktor, Stiepan Grygorycz, wszędzie go pełno, szumu robi od cholery, sam spokojnie nie usiedzi i chorym nie daje żyć, wymyślił, żeby gonić do roboty koło szpitala wszystkich chodzących, do stawiania płotków, do ubijania ścieżek, do noszenia ziemi na klomby, a w zimie do odwalania śniegu. Na chorobę najlepszym lekarstwem - powiada - jest praca.

Od roboty i koń zdycha. To trzeba rozumieć. Sam by się uszarpał przy budowie, siedziałby wtedy cicho.

A Wdowuszkina pisał swoje. W samej rzeczy zajmował się lewą robotą, nie do pojęcia dla Szuchowa. Przepisywał nowy długi wiersz, który wczoraj skończył, a dziś obiecał pokazać Stiepanowi Grygoryczowi, temu właśnie lekarzowi.

Jak to się tylko w łagrze może zdarzyć, Stiepan Grygorycz doradził Wdowuszkini, żeby się podał za felczera, i dał mu felcherską robotę. Wdowuszkina uczył się robić zastrzyki dożylnie na ciemnych robociarzach oraz na spokojnych Litwinach i Estończykach, którym nawet do głowy nie przyszło, że felczer może w ogóle nie być felczerem. Bo naprawdę to Kola studiował filologię. Aresztowano go na drugim roku studiów. Stiepan Grygorycz chciał, żeby Kola za drutami napisał to, czego mu nie dali napisać na wolności.

...Przez podwójne, nieprzejrzyste, bo pokryte białym lodem szyby dobiegło ledwie słyszalne dzwonięcie na wyjście. Szuchow westchnął i wstał. Trzęsło go jak i przedtem, ale widać ze zwolnienia nic nie będzie. Wdowuszkina wyciągnął rękę po termometr, popatrzył.

- No, widzisz, ni to, ni owo, trzydzieści siedem i dwie. Żebyś miał trzydzieści osiem, sprawa byłaby jasna. Ja cię zwolnić nie mogę. Jak chcesz, to zostań na własne ryzyko. Jeśli na obchodzie doktor uzna cię za chorego, to zwolni, a nie uzna - to odmowa pójścia do pracy i karcer. Już lepiej do roboty.

Szuchow nic nie odpowiedział, nawet głową nie kiwnął, nacisnął czapkę i wyszedł.

Bo to kiedy syty głodnego zrozumie?

Mróz dławiał. Mróz żrącą mgiełką osaczył Szuchowa, zmusił do kaszlu. Mróz miał dwadzieścia siedem, Szuchow trzydzieści siedem. Teraz - kto kogo.

Szuchow szybkim truchtem pobiegł do baraku. Na placu apelowym ani żywego ducha, wszędzie pustki. Była to taka chwila krótka, rozmarzająca, kiedy już wszystko jest przygotowane, ale jeszcze udajesz, że to nieprawda, że nie popędzą do pracy. Konwój siedzi w ciepłych koszarach, senne głowy oparli na karabinach - dla nich w taki mróz na więzyczkach przytupywać też niesłodko. Wartownicy na głównej wartowni dorzucają węgla do pieca. Strażnicy na swojej wartowni dopalają ostatniego papierosa przed rewizją. A więźniowie, już ubrani w swoje łachy, przepasani sznurkami, od mrozu omotani szmatami od podbródka po oczy, leżą w walmach na zasłanych pryczach, poprzymykali oczy, zamarli. Aż brygadzysta krzyknie: „Wstaa-wać”.

Sto czwarta brygada drzemała wraz z całym dziewiątym barakiem. Tylko Pawło, zastępca brygadzysty, poruszał wargami podliczając coś ołówkiem i na górnej pryczy sąsiad Szuchowa, baptysta Aloszka, czyściutki, domyty, czytał ze swego notesu, w którym miał przepisane pół Ewangelii.

Szuchow wbiegł. Zachowywał się jak najciszej, choć ogromnie się śpieszył - i prosto do pryczy zastępcy brygadzysty.

Pawło podniósł głowę.

- Ne posadyły, Iwan Denisycz?

Żywy? - Zachodnich Ukraińców do śmierci nie oduczysz, nawet w łagrze zwracają się na „wy”.

Wziął skibkę ze stołu, podał. A na chlebie - cukru biały pagóreczek.

Bardzo śpieszył się Szuchow, a przecież odpowiedział uprzejmie. (Zastępca brygadzysty też władza, od niego nawet więcej zależy niż od naczelnika łagru). Wargami zebrał cukier z chleba, językiem zlizął i postawił nogę na poprzeczkę, żeby wejść na górę,

zaścielić pryczę. Spieszył się bardzo, a przecież swoją rację dokładnie obejrzał, na dłoni zważył - ma te pięćset pięćdziesiąt gramów, co się należą, czy nie ma? Tysiące razy pobierał Szuchow swój chleb po więzieniach i łagrach i choć nigdy nie zdarzyło mu się sprawdzić go na wadze, choć jako człowiek cichy nie próbował awanturować się i prawować o swoje, ten przecież wiedział, jak każdy zek, że kto uczciwie waży, nie utrzyma się w magazynie. Niedowaga jest w każdej porcji - tylko jaka, czy bardzo duża? Więc za każdym razem patrzysz, a nuż się poszczęściło, może dzisiaj niewiele urwali? Może tylko paru gramów brak?

- Ze dwa deko obciąli - uznał Szuchow i przełamał chleb na dwoje. Połówkę wsunął za pazuchę, pod waciak, miał tam białą kieszeń specjalnie przyszytą, bo fabryka dla zeków szyje waciaki bez kieszeni. Drugą połówkę, przyszczędzoną od śniadania, zamierzał zjeść od razu, ale śpieszne jedzenie to żadne jedzenie, pożytku z niego nie będzie ani żadnej sytości. Już chciał schować chleb do swojej skrzynki, ale znów się rozmyślił, przypomniał sobie, że już dwa razy dyżurni byli bici za kradzież. W takim wielkim baraku to jak w zajeździe.

Więc Iwan Denisowicz nie wypuszczając chleba z rąk zsunął z nóg walonki tak zręcznie, że zostawił w nich i onuce, i łyżkę, bosowo wlaź na górę, rozszerzył dziurę w sienniku i tam wsunął pomiędzy wióry swoje pół porcji. Zerwał czapkę z głowy, wyciągnął z niej igłę z nitką, wpięta była głęboko, bo przy kipiszu czapki także obmacują - jak raz strażnik się ukłuł, to mało łba Szuchowowi nie rozbił ze złości. Ścieg, ścieg, ścieg - i zaszył dziurę z chlebem. Tymczasem cukier rozpuścił się w ustach. Wszystko w Szuchowie było napięte do ostateczności - zaraz w drzwiach wrzaśnie dyspozytor. Palce Szuchowa zwinnie śmigały, głowa zawczasu planowała, co dalej.

Baptysta czytał Ewangelię półszepem, ale jakby nie tylko dla siebie, może nawet specjalnie dla Szuchowa, oni przecież, ci baptyści, lubią agitować.

- „A żaden z was niechaj nie cierpi jako mężobójca albo złodziej, albo złomówca, albo jako cudzego pragnący. Lecz jeśli jako chrześcijanin, niech się nie sroma, a niech chwali Boga w tem imieniu” (Piotr - List I, rozdz. IV, wiersz 15, Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka z r. 1599, wyd. z roku 1966).

Zuch z tego Aloszki, swój notes tak sprytnie ukrywa w szparze ściany, że jeszcze go przy żadnym kipiszu nie znaleźli.

Równie szybkimi ruchami Szuchow przewiesił waciak przez poprzeczną belkę, wyciągnął spod siennika rękawice, drugą parę cienkich onuc, sznurek i szmatkę z dwoma tasiemkami. Wióry w sienniku trochę podrównał - ciężkie, zbite wióry - koc ze wszystkich

stron popodtykał pod siennik, rzucił poduszkę na miejsce, zlął na dół i zaczął się obuwać. Najpierw zawiął lepsze onuce, te nowe, potem gorsze, na wierzch.

Właśnie brygadzysta odchrząknął, wstał i zapowiedział:

- Kończyć spanie, sto czwarta! Wychodzić!

I od razu cała brygada, kto spał, kto nie spał, wstała, ziewnęła i poszła do wyjścia. Brygadzysta siedzi już dziewiętnaście lat, nie wygoni z baraku nawet o minutę wcześniej, niż trzeba. Powiedział:

„Wychodzić!”, to znaczy ostatnia chwila, żeby wyjść.

W czasie kiedy brygada ciężkimi krokami w milczeniu wychodziła na korytarz, a stamtąd do sieni i na ganek, a brygadzysta dwudziestej naśladowując Tiurina także zawołał: „Wyy-chodzić!”, Szuchow zdążył obuć walonki na obie pary onuc, włożyć buszlat na waciak i ciasno przepasać się sznurkiem. Kto miał skórzane rzemienie, to mu odebrali, w specłagrze rzemienie niedozwolone.

Tak więc Szuchow ze wszystkim nadążył i w sieni dopędził swoich. Numerowane plecy znikają w drzwiach na ganek. Pogrubiali, ubrani we wszystko, co kto miał, ludzie z brygady ociężałe, gęsiego, nie próbując wyprzedzać się wzajem, szli na skrót w stronę placu apelowego i tylko śnieg poskrzypywał.

Jeszcze wciąż było ciemno, choć niebo od wschodu pozieleniało. Wiał ostry, zły, wschodni wiatr.

Nie ma nic gorszego od tej chwili, kiedy o świcie wychodzi się do pracy. Po ciemku, na mróz, o pustym brzuchu, na cały dzień. Język kołowacieje. Gęby się nie chce otworzyć.

Na placu miotał się młodszy dyspozytor.

- No, Tiurin, długo mam czekać?! Znowu się spóźniasz?

Młodszego dyspozytora nawet Szuchow nie bardzo się boi, a co dopiero Tiurin. Ten nawet po próznicy ust nie otworzy na mrozie, milczy, idzie dalej. I brygada za nim po śniegu: tup-tup, skrzyp-skrzyp.

A kilo słoniny widocznie Tiurin zaniósł, bo po staremu do swojej kolumny podeszła sto czwarta, po sąsiednich brygadach poznać. Na Socgorodok pogonią jakichś głupszych i biedniejszych. Oj, ciężko tam dziś będzie: dwadzieścia siedem i wiatr, ani gdzie się schować, ani przy czym ogrzać.

Brygadzysta dużo słoniny potrzebuje - i do Ppcz musi zanieść i swojemu brzuchowi dogodzić. Ale słoniny mu nie zabraknie, choć sam nie dostaje paczek. Kto z brygady dostanie, zaraz mu gościniec niesie.

Inaczej nie wyżyjesz.

Starszy dyspozytor sprawdza zapisane na dykcie:

- Ty, Tiurin, masz dziś jednego chorego? Wychodzi dwudziestu trzech?

- Dwudziestu trzech - kiwa brygadzysta.

Kogo nie ma? Pantielejewa.

Jaki on tam chory?!

I od razu szu-szu-szu między sobą. - Pantielejew, suka, znowu zostanie w zonie. Nic mu nie jest, oper go zostawił. Znów na kogoś będzie kapował.

W dzień można wezwać bez kłopotu. Choćby go i trzy godziny trzymali - nikt nie widzi, nikt nie usłyszy.

A zapisują, że na izbie chorych...

Cały plac czerniał od buszłatów i wzdłuż niego brygady powoli przesuwały się naprzód, do rewizji. Szuchow przypomniał sobie, że powinien poprawić numer na waciaku, przecisnął się przez plac na drugą stronę. Czekają tam w kolejce do malarza dwóch czy trzech zeków. Stał i Szuchow. Numer dla zeka gorszy od zarazy - i strażnik po nim z daleka przywazy, i konwój zapisze, a nie odnowisz numeru w porę, pójdziesz do bunkra: dlaczego nie dbasz o numer?

Malarzy jest w łagrze trzech, malują zwierzchności obrazy za darmo i kolejno wychodzą rano poprawiać numery. Dzisiaj jest staruszek z siwiuteńką bródką. Kiedy maluje pędzelkiem numer na czapce, to zupełnie jakby pop olejami świętymi cię namaszczał na wieczny odpoczynek.

Pomaluje, pomaluje i chucha w rękawiczkę. Rękawiczka dziergana, cienka, ręka grabieje, trudno rysować cyfry.

Malarz poprawił Szuchowowi „Sz-#854” na waciaku i Szuchow dogonił brygadę w nie zapiętym buszłacie, trzymając sznurek w ręku, bo do kipiszu było już niedaleko. I od razu zauważył, że Cezar, z jego brygady, pali, i to nie fajkę pali, a papierosa, znaczy można go ustrzelić. Ale Szuchow nie poprosił wprost, stanął tuż obok Cezara, i na wpeł odwrócony patrzył w bok.

Patrzył w bok i niby obojętnie, ale widział, jak po każdym sztachnięciu - Cezar zaciągał się rzadko, w zamyśleniu - obrączka czerwonego popiołu sunęła po papierosie, zmniejszając go, coraz bliższa cygarniczki.

A już i Fetiukow szakał się przypętał, stanął na wprost Cezara, oczy mu płoną, w gardło tamtemu zagłąda.

Szuchow nie miał już ani szczypty tytoniu i nie spodziewał się przed wieczorem znikąd wy dostać. Sprężył się cały w oczekiwaniu. Zdawało mu się, że bardziej teraz pragnął

tego niedopałka niż nawet samej wolności. Ale nie poniżałby się tak jak Fetiukow, w gębę by się nie gapił.

W Cezarze kilka racji razem wymieszanych, ni to on Grek, ni to Żyd, ni to Cygan, trudno zgadnąć. Młody jeszcze. Filmy kręcił dla kina. Ale i pierwszego nie dokręcił, jak go posadzili. Wąsy ma czarne, gęste, zbite. Nie zgolili mu tutaj, bo na zdjęciu w aktach tak figuruje.

- Cezar Markowicz! - nie wytrzymał, zachłysnął się Fetiukow. - Dajcie raz pociągnąć!
I twarz mu drgała z łapczywości i pożądania.

...Cezar podniósł na wpół opuszczone powieki i czarnymi oczyma patrzył na Fetiukowa. Właśnie dlatego zaczął częściej palić fajkę, żeby mu nie przerywali palenia, żeby nie prosili o peta. Nie tytoniu było mu żal, a przerwanej myśli. Palił, żeby się skupić, żeby domyśleć coś do końca. Ale jak tylko zapalał papierosa, od razu w wielu oczach widział: „Zostaw pociągnąć”.

...Cezar odwrócił się do Szuchowa i powiedział:

- Weźcie, Iwan Denisycz!

I dużym palcem wyłuskał gorejący niedopałek z bursztynowej cygarniczki.

Szuchow drgnął - tego właśnie oczekiwał, że Cezar sam mu zaproponuje - jedną ręką z wdzięcznością śpiesznie wziął niedopałek, drugą asekurował od spodu, żeby nie upuścić. Nie obrażał się o to, że Cezar brzydził się dać mu peta w cygarniczce (jeden ma usta czyste, a drugi parszywe); jego palce zrogowaciałe nie czuły żaru, choć trzymał za sam ogień. Najważniejsze, że on jest górą, a nie ten szakał Fetiukow. Teraz ciągnął, póki ogień nie zaczął parzyć warg. M-m-m-m-m! Dym rozszedł się po wygłodzonym ciele, poczuł go i w głowie, i w nogach.

Ledwie się ta błogość po nim rozlała, kiedy usłyszał Iwan Denisowicz szum głosów:

- Podkoszulki odbierają!

Takie jest życie zeka. Szuchow już przywykł - nic, tylko się pilnuj, żeby ci do gardła nie skoczyli.

- Dlaczego podkoszulki? Sam komendant przecież je wydawał? Ej, coś tu chyba nie tak...

Dzieliły ich od kipiszu już tylko dwie brygady i cała sto czwarta zobaczyła: nadszedł od swojego baraku naczelnik reżymu, lejtnant Wołkowej, i krzyknął coś strażnikom. Strażnicy, którzy dotąd rewidowali, aby zbyć, ożywili się nagle, skoczyli jak psy, a ichni sierżant ryknął:

- Roo-zpiąć koszule!

Nie tylko zeki, nie tylko strażnicy - i sam komendant łagru boi się Wołkowoja. Tak mówią. Bóg na łajdakach swoje piętno kładzie, dał draniowi nazwisko! - inaczej niż wilkiem Wołkowej nie popatrzy.

Czarniawy, długi, nasepiony i wszędzie go nosi. Wyjdzie zza baraku: „Co tu za zgromadzenie?” Nie upilnujesz się przed nim. Z początku jeszcze pejcz nosił gruby jak ręka do łokcia, skórzany, pleciony. W karcu nim tłuką, powiadają. Albo na wieczornym apelu: tłoczą się zeki przed barakiem, a ten z tyłu się podkradnie i - lu! - pejczem po karku: „Dlaczego nie w szeregu, ścierwo?!” Tłum przed nim odskoczy jak falą zmyty. Uderzony złapie się za szyję, obetrze krew, milczy - żeby jeszcze bunkra nie dołożył.

Teraz jakoś pejcza nie nosi.

W mróz przy zwykłym kipiszu przynajmniej rano nie było za ostro. Zek rozpinął waciak i rozchyłał poły. Szli tak piątkami, pięciu strażników stało naprzeciw. Obmacali więźnia przez zapięty waciak, klepnęli po jedynej dozwolonej kieszeni na prawym kolanie nie zdejmując rękawic. A jeśli wymacali coś podejrzanego, to z lenistwa nie wyciągali od razu, tylko pytali: „Co to jest?”

Czego szukać rano u zeka? Noży? Przecież je nie z łagru noszą, a do łagru. Rano trzeba sprawdzić, czy ktoś nie ma przy sobie paru kilogramów żarcia, żeby uciec. Był okres, kiedy tak się tego chleba bali, tych kawałków dwustugramowych wydawanych na obiad, że ogłoszono rozkaz, każda brygada ma sobie zrobić drewniany kuferek i nosić w nim cały swój chleb, wszystkie pozbierane od ludzi kawałki. Nie wiedzieć, czego się po tym spodziewali, a najprędzej chcieli ludzi pomęczyć. Kłopot tylko niepotrzebny - nadgryź swój kawałek, zapamiętaj, włóż do kufierka, a wszystkie kawałki i tak jednakowe, wszystkie z takiego samego chleba, więc przez całą drogę myśl o tym, dręcz się, czy ci twojego nie podmienia, wyklócaj się potem, nieraz nawet do bójkki dochodziło. Ale raz trzech uciekło samochodem, kiedy pracowali za zoną, i całą taką skrzynię chleba zabrali. Opamiętało się wtedy naczalstwo, wszystkie kufierki porąbali na wartowni. Niech znowu każdy sobie nosi.

I jeszcze trzeba sprawdzić rano, czy nie ma który cywilnego ubrania pod łagrowym. Ale przecież własnego ubrania dawno u nikogo nie uświadczysz. Poodbierali, powiedzieli, że do końca wyroku nie oddadzą. A dotąd nie było wypadku, żeby się w tym łagrze komuś wyrok skończył.

I jeszcze - sprawdzić, czy nikt listu nie wynosi, żeby mu ktoś z wolnych wysłał. Ale znowu szukać listu u każdego - to by do obiadu zeszło.

Wołkowej krzyknął, żeby czegoś tam szukać, i strażnicy pościągali rękawiczki. Każą rozwiązywać waciaki. Każdy tego ciepła z baraku bronił - a tu koszulę każą ci porozpinać i

dawaj wymacywać, czy nie naruszyłeś regulaminu i nie włożyłeś czegoś pod spód. Wolno mieć koszulę i podkoszulek, a wszystko inne pozdejmować! - powtarzali zeki od szeregu do szeregu rozkaz Wołkwoja. Te brygady, co przeszły wcześniej, to ich szczęście. Niektóre już są za bramą, a nasi mają się rozbierać. Włożyłeś coś pod spód - zdejmuj teraz na mrozie!

Zaczęli więc, ale wyszło nieskładnie, na bramie zrobiło się pusto, za bramą od wartowni konwój się wydiera: „Prędzej! Prędzej!” I Wołkwoj przy sto czwartej łaskawie kazał tylko zapisywać, co kto ma na sobie nieregulaminowego. Niech wieczorem sami zdają do magazynu z wyjaśnieniem na piśmie, jak i dlaczego ukryli.

Szuchow wszystko ma łagrowe, masz, macaj - gnaty, dusza, i tyle. Ale Cezarowi zapisali flanelową koszulę, a Bujnowskiemu zdaje się kamizelkę czy jakiś zakieciak. Bujnowski podniósł głos, jak przywykł na swoim niszczycielu. W obozie był niecałe trzy miesiące:

- Nie macie prawa rozbierać ludzi na mrozie! Dziewiątego artykułu kodeksu karnego nie znacie!

Mają! Znają! To ty, bracie, jeszcze łagru nie znasz!

- Ludzie radzieccy tak nie postępują! - dobija ich kapitan.

- Ani komuniści!

Artykuł kodeksu Wołkwoj jeszcze ścierpiał, ale teraz cisnął się jak czarna błyskawica:

- Dziesięć dni ścisłego! - I, spokojniej, do sierżanta: - Od wieczora.

Nie lubią brać do karceru rano, dniówka przepada. Przez dzień niech się natyra, a wieczorem - do karceru.

Karcer nie opodal, po lewej ręce od placu apelowego, murowany, dwa skrzydła. Drugie skrzydło dobudowano tej jesieni, w jednym już się nie mieścili. Karcer-bunkier ma osiemnaście cel, ale cele poprzedzielane na pojedynki. Cały łagier drewniany, tylko karcer murowany.

Zalazł chłód pod koszulę, teraz go stamtąd nie wygonisz. Okutali się zeki - i wszystko na darmo. Nieznośnie łamie Szuchowa w krzyżu. Oj, poleżeć by sobie w szpitalnym łóżku. Pospać. To jedno, na co ma ochotę. Aby koc jak najcieplejszy.

Stoją zeki przed bramą, zapinają się, przewiązują, a konwój zza drutów:

- Prędzej! Prędzej!

I dyspozytor szturcha w plecy:

- Prędzej! Prędzej!

Jedna brama. Pas ziemi między drutami. Druga brama. I żerdzie poprzeczne po obu stronach wartowni.

- Stać - krzyczy wartownik. - Jak stado baranów! Piątkami ustaw się!

Już się rozwidniało. Za wartownią dogasało ognisko. Zawsze przed rozprowadzeniem konwój rozpala ognisko, żeby się ogrzać i nie liczyć więźniów po ciemku.

Wartownik ostro i głośno odliczał:

- Pierwsza! Druga! Trzecia!

Piątki odrywały się i maszerowały, każda oddzielnie, czy patrzysz z tyłu, czy z przodu - pięć głów, pięć waciaków i nóg dziesięcioro.

A drugi wartownik - kontroler, stoi milcząc przy drugiej poręczy i tylko sprawdza, czy się rachunek zgadza.

I jeszcze lejtnant stoi, patrzy.

To z komendy łagru.

Naszym największym skarbem jest człowiek. Jednej głowy zabraknie za drutami - twoja ją zastąpi.

I znowu cała brygada jest razem. Teraz liczy sierżant z konwoju:

- Pierwsza! Druga! Trzecia!

I znowu piątki maszerują oddzielnie.

A pomocnik komendanta warty z drugiej strony sprawdza.

I jeszcze jeden lejtnant.

To dowódca konwoju.

Nie wolno się pomylić. Za cudzą głowę zapłacisz własną.

Ponatykali konwojentów od cholery! Półkolem otoczyli kolumnę z elektrociepłowni. Automaty wycelowali - prosto w mordę. Stoją szare psy ze swoimi przewodnikami. Jeden pies zęby wyszczerzył - z zeków się śmieje. Konwojenci w półkożuszkach, tylko sześciu w tułupach. Tułupy dostają ci, co idą na wieżyczki.

I znów przemieszały się wszystkie brygady - konwój przelicza całą kolumnę elektrociepłowni, piątkami.

- Przed wschodem słońca mróz jest najsilniejszy - wyjaśnia kapitan. - Nad ranem przypada właśnie moment największego nocnego spadku temperatury.

Kapitan w ogóle lubi objaśniać. Jaki księżyc: czy na nowiu, czy stary - to ci powie z góry, oblicza na każdy dzień, na jaki chcesz rok.

Szybko kapitan się wykańcza, policzki mu się zapadły - a dziarski.

Wiał silny wiatr i mróz zdrowo kąsał nawet nawykłą do wszystkiego twarz Szuchowa. Widząc, że przez całą drogę na budowę będzie mu dmuchać w pysk, Szuchow zdecydował zawiązać szmatkę. Szmatka na wypadek przeciwnego wiatru wiązana była na dwie długie tasiemki. Wielu zeków miało podobne, przyznawali, że to pomaga. Szuchow zasłonił twarz po same oczy, przeciągnął tasiemki pod uszami i zawiązał je na karku. Potem opuścił uszankę na kark i podniósł kołnierz buszłatu. Jeszcze przednią klapę czapki nasunął na czoło, tylko mu oczy było widać. Waciak mocno w pasie zaciągnął sznurkiem. Wszystko byłoby w porządku, tylko rękawice cienkie i ręce już zgrabiwały. Więc zacierał dłonie, uderzał po bokach rękami, wiedział, że zaraz będzie je musiał wziąć do tyłu i trzymać tak przez całą drogę.

Dowódca warty zmówił codzienną, znaną do znudzenia aresztancką modlitwę:

- Uwaga, więźniowie! W czasie marszu ściśle przestrzegać szyku w kolumnie! Zachować odstęp, nie przechodzić z piątki do piątki, nie rozmawiać, nie rozglądać się, ręce do tyłu! Krok w prawo albo krok w lewo będzie uważany za próbę ucieczki i konwój otworzy ogień bez ostrzeżenia! Prawoskrzydłowy, krokiem marsz!

I widać ruszyli dwaj konwojenci od czoła, bo cała kolumna drgnęła, zakołysała ramionami i pomaszerował konwój trzymając automaty w pogotowiu, o dwadzieścia kroków od kolumny po lewej i po prawej, konwojent za konwojentem co dziesięć kroków.

Śnieg już z tydzień nie padał, droga była przetarta, ubita. Obeszli łagier, wiatr bił teraz w twarz z ukosa. Trzymając ręce z tyłu, opuściwszy głowy, szła kolumna jak za pogrzebem. Widzisz tylko nogi dwu czy trzech przed sobą i skrawek wydeptanej ziemi, gdzie masz postawić nogę. Od czasu do czasu któryś konwojent krzyknie:

„Jot-czterdzieści osiem! Ręce do tyłu!”, „Be-pięćset dwa! Dołączyć!” Potem i oni krzyczą coraz rzadziej - wiatr zacina, przeszkadza patrzeć. Dla nich szmatka regulaminowo nie przewidziana. Też służba nielekka...

Kiedy jest cieplej, w kolumnie rozmawiają - krzycz, nie krzycz

- rozmawiają. Ale dziś wszyscy skuleni, każdy chowa się za plecy poprzedniego, każdy myśli o swoim.

Nawet myśl aresztancka nie jest wolna, ciągle wraca do tego samego w kółko o jednym - czy chleba w sienniku nie wymacają? Czy doktor wieczorem zwolni? Posadzą kapitana czy nie posadzą? Skąd Cezar wytrzasnął swoją ciepłą bieliznę? Na pewno dał w łapę w składzie rzeczy osobistych, no bo skąd?

Przez to, że śniadanie jadł wystygłe i bez chleba, Szuchow czuł się dziś nie najedzony. Żeby go w brzuchu nie ssało, żeby zapomnieć o głodzie, przestał myśleć o łagrze, zaczął myśleć o tym, jak niezadługo będzie pisał list do domu.

Kolumna minęła tartak wybudowany przez zeków, minęła osiedle - stawiali baraki więźniowie, ale mieszkają tam wolni - minęła dom kultury – też zeki wszystko zbudowali od fundamentów, ściany sami zdobili, a filmy wolni oglądają - i wyszła w step, naprzeciw wiatrowi, naprzeciw czerwienięjącemu na wschodzie niebu. Nagi biały śnieg leżał jak okiem sięgnąć, na prawo i na lewo, na całym stepie nie było ani jednego drzewka.

Zaczął się rok nowy, pięćdziesiąty pierwszy, i Szuchow miał w nim prawo do dwu listów. Ostatni wysłał w lipcu, a odpowiedź przyszła w październiku. W Ust-Iźmie inny był porządek, mogłeś pisać choćby co miesiąc. Ale co tam w liście napiszesz? Szuchow i wtedy pisał nie częściej niż teraz.

Szuchow wyszedł z domu dwudziestego trzeciego czerwca czterdziestego pierwszego roku. W niedzielę rano ludzie przyszedli po sumie z Połomny i mówią - wojna! W Połomnie poczta się dowiedziała, a w Tiemgieniowie przed wojną nikt nie miał radia. Teraz, jak słyhać, w każdej chacie głośnik skrzeczy.

Pisać teraz, to jakby kamyki ciskać w nieruchomą topiel. Wpadło, przepadło, ani śladu. Nie napiszesz, w jakiej brygadzie pracujesz, co to za człowiek twój brygadzysta Andriej Prokofiewicz Tiurin. Teraz prędzej masz o czym pogadać z Kildigsem, Łotyszem, niż z domownikami.

A i oni dwa razy do roku napiszą - życia ich zrozumieć nie możesz. Przewodniczący kołchozu, piszą, nowy, ale przecież on co roku jest nowy, dłużej niż rok ich nie trzymają. Kołchoz złączyli z sąsiednimi, ale przecież i dawniej łączyli, a potem znowu rozdzielali. Jeszcze ktoś tam normy roboczodniówek nie wykonał, że przyzagrodowe zmniejszyli do półtora tysiąca metrów, niejednemu pod samą chałupę się woral.

I jeszcze, pisała kiedyś jego baba, wyszedł dekret, żeby za tę normę sądzić i kto jej nie wykona - sadzać do więzienia, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Jednego tylko w żaden sposób nie może Szuchow zrozumieć - żona pisze, że od samej wojny ani jednej duszy w kołchozie nie przybyło. Chłopaki wszystkie i wszystkie dziewczyny, każdy na swój sposób, ale odchodzą, ławą idą do fabryk, do miasta albo do kopania torfu. Połowa chłopów nie wróciła z wojny, a ci, co wrócili, mają kołchoz gdzieś - mieszkają we wsi, a pracują na boku. Jest ich w kołchozie tylko dwóch, brygadzysta Zachar Wasilicz i cieśla Tichon, osiemdziesięcioczeroletni, ożenił się niedawno, dzieci już ma. Baby kołchoz ciągną, które jeszcze w trzydziestym roku do kołchozu zapędzili, a kiedy padną, to kołchoz zdechnie.

Tego właśnie Szuchow nijak nie mógł zrozumieć - mieszkają we wsi, a pracują gdzie indziej. Widział Szuchow gospodarkę indywidualną, widział kołchozową, ale żeby chłopci w

swojej własnej wsi nie pracowali, to mu się w głowie nie może pomieścić. Jakby artel wędrowny, czy co? No, a w sianokosy jak?

Artelami, żona odpisała, dawno już nie chodzą. Ani z ciesiołką, z której dawniej ich strony słynęły, nie chadzają, ani koszów wiklinowych nie wyplatają, nikt tego teraz nie potrzebuje. A rzemiosło, owszem, jest, nowe wynaleźli, niczego sobie - makatki malują. Ktoś tam przywiózł z wojny szablon i poszło, coraz więcej takich mistrzów malunkarzy się pojawia, nigdzie nie należą, nigdzie nie pracują, jeden miesiąc pomagają kolchozowi właśnie przy sianokosach i przy żniwach, a za to na pozostałe jedenaście miesięcy kolchoz wydaje im zaświadczenia, że takiego to a takiego kolchoźnika zwalnia się dla załatwienia własnych spraw i że z obowiązków swoich wobec kolchozu się wywiązał. Jeżdżą po całym kraju, nawet samolotami latają, oszczędzają swój czas, a pieniądze wielkie tysiącami zgarniają, wszędzie makatki malują - pięćdziesiąt rubli za makatkę, na byle jakim starym prześcieradle, jakie dostaną, jakiego nie szkoda, a malowanie takiej makatki godzinę trwa, nie dłużej. Z wielką nadzieją czeka żona, że wróci Iwan, to też jego noga nie postanie w kolchozie, tylko takim malunkarzem zostanie. Podźwigną się wtedy z nędzy, w której się szarpie, dzieci oddadzą do technikum, a zamiast starej spróchniałej chałupy postawią nową. Wszyscy malunkarze stawiają sobie nowe domy, domy przy kolei kosztują teraz nie pięć tysięcy, jak dawniej, ale dwadzieścia pięć.

Choć do końca wyroku jeszcze czasu niemało - zima-lato i znowu zima-lato - a przecież rozjątrzyły mu duszę te makatki. Robota jak raz dla niego, jeśli go ześlą albo pozbawią praw.

Prosił wtedy Szuchow żonę, żeby mu odpisała, jakże to on będzie malunkarzem, skoro od urodzenia rysować nie umie? I co to za makatki takie niesłychane, i co się na nich maluje? Odpowiedziała żona, że tylko głupi nie potrafi ich malować, przykłada się szablon i ciągnie się pędzlem po dziurkach. A makatek są trzy rodzaje: jedna makatka „Trojka” - trójka koni w pięknej uprząży oficera huzarów wiezie, druga makatka „Jeleń”, a trzecia jakby dywan perski. Żadnych innych wzorów nie ma, ale i te ludzie w całym kraju biorą z podziękowaniem, z rąk wrywają. A to dlatego, że prawdziwa makatka nie pięćdziesiąt rubli, a tysiąc kosztuje.

Wszystko by oddał Szuchow, żeby chociaż okiem jednym te makatki zobaczyć.

W łągach i w więzieniach odwykł Iwan Denisowicz od planowania, co będzie jutro czy za rok, jak rodzinę wyżywić. O wszystko naczałstwo za niego się troszczy - może to i lepiej. Ale co będzie na wolności? Z opowiadań wolnych szoferów widzi Szuchow, że prosta droga ludziom zagrodzona, ale ludzie się specjalnie nie przejmują, skręcają i wychodzą na swoje.

Tak skrócić Szuchow też by potrafił, zarobek widać łatwy, raz-dwa i gotowe. I odbić się od swoich, od sąsiadów, jakoś głupio... Ale w głębi duszy Iwan Denisowicz nie bardzo chciałby brać się za te makatki. Przy takiej pracy bezczelnym trzeba być, nachalnym, umieć dać w łapę milicji. Szuchow czterdzieści lat ziemię depta, już połowy zębów nie ma, głowa łysieje, a jeszcze nigdy nikomu nie dawał w łapę i nie brał od nikogo, nawet w łagrze się nie nauczył.

Łatwe pieniądze diabła warte, człowiek tego poczucia nie ma, że zapracował. Dobrze mówili starzy: za co nie zapłacisz, tego i nie ponosisz. Ręce Szuchow jeszcze ma sprawne, wydołają, a cóż to, nie znajdzie sobie na wolności prawdziwej roboty?

Zresztą czy wyjdzie kiedyś na wolność? Nie dołożą mu nowej dziesiątki - za nic?

Przez ten czas kolumna przysła na miejsce i zatrzymała się przed wartownią rozległej zony obiektu. Jeszcze przedtem, kiedy podchodzili do zony, dwóch konwojentów w tułupach oddzieliło się od kolumny, pobrnęli przez śnieg ku swoim odległym wieżyczkom. Póki konwój nie obsadzi wszystkich wieżyczek, nie wpuszczają do środka. Dowódca warty z automatem na ramieniu poszedł na wartownię. A z komina wartowni bez przerwy wali kłębamii dym - dozorca siedzi tam przez całą noc, pilnuje, żeby nie ukradli desek albo cementu.

Za bramą z kolczastego drutu, za zoną budowy, za dalekimi drutami po tamtej stronie wstaje słońce, wielkie, czerwone, jakby we mgle. Obok Szuchowa stoi Aloszka, patrzy na słońce, raduje się, uśmiecha. Policzki zapadnięte, na łagrowej normie siedzi, nigdzie sobie nie dorobi - czego się cieszy? W niedzielę zawsze z innymi baptystami szepcze. Łagier po nich jak po gęsi woda. Po dwadzieścia pięć lat dostali za swoją wiarę - czy naprawdę zamierzano baptystów od wiary tym odepchnąć?

Szmatka-kaganiec zwilgotniała od oddechu, po drodze mróz ją ściał, zeszywniała, zlodowaciała. Szuchow zsunął ją z twarzy na szyję i stanął tyłem do wiatru. Specjalnie nie przemarzał, tylko ręce zgrabiały w przetartych rękawicach i zdrętwiały palce lewej nogi, lewy walonek nadpalony, drugi raz podszywany, przepuszcza.

Łamie w krzyżu, całe plecy bolą - jak tu pracować?

Obejrzał się i trafił wzrokiem na brygadzystę. Tiurin szedł w następnej piątce. Brygadzysta szeroki w barach, a i głowę ma potężną. Stoi ponury.

Podśmiechujkami brygady swojej nie traktuje, ale karmi nieźle, o żarcie się stara. Drugi wyrok odsiaduje, syn Gułag-u, obyczaj łagrowy zna jak mało kto.

Brygadzysta w łagrze jest wszystkim, dobry brygadzysta drugie życie ci podaruje, przy złym nogi wyciągniesz. Andrieja Prokofiewicza Szuchow znał jeszcze z Ust-Iżmy, ale tam

nie był w jego brygadzie. A kiedy z Ust-Iżmy, ze zwykłego łagru, cały pięćdziesiąty ósmy artykuł przepędzili tutaj, do katorżnego, Tiurin wziął Szuchowa do siebie. Z komendantem łagru z Ppcz, z kierownikami robót, z inżynierami Szuchow nie rozmawia, wszystko weźmie brygadzista na siebie, a pierś ma żelazną. Za to jak brew uniesie albo palcem kiwnie - leć, rób! Możesz w łagrze oszukiwać kogo chcesz, tylko Andrieja Prokofiewicza nie oszukuj. Wtedy przeżyjesz.

Szuchow chciałby zapytać brygadzystę, czy będą pracowali tam gdzie wczoraj, czy na jakie inne miejsce przejdą, ale strach przerwać tamtemu zadumę. Dopiero co Socgorodka się pozbył, teraz może obmyśla, jak z normą załatwić, od tego wyżywienie na pięć następnych dni zależy.

Twarz brygadzisty cała w głębokich dziobach po ospie. Stoi twarzą do wiatru - nie skrzywi się, skórę ma jak dębowa kora.

Zabijają ręce, przytupują w kolumnie. Wściekły wiatr! Już na wszystkich sześciu wieżyczkach siedzą gołębiarze, a do zony dalej nie wpuszczają. Czujność przejawiają.

No! Wszedł z wartowni dowódca warty z kontrolerem, stanęli po obu stronach bramy, otworzyli.

- Pią-tka-mi ustaw się!

Pierwsza! Dru-ga!

Ruszyli, aresztanci, jak na paradzie, krokiem niemal defiladowym. Byleby się dostać do zony, tam już wiemy, co robić.

Nie opodał za wartownią - barak kancelarii, koło kancelarii stoi kierownik robót, zwołuje brygadzystów, a i oni sami przy nim się zbierają. I Der też tu jest, więzień, dziesiętnik, niezła szuja, swojego brata zeka gania gorzej niż psa.

Ósma, pięć po ósmej - dopiero co wyła syrena pociągu-elektrowni - naczałstwo boi się, żeby zeki czasu nie marnowali, żeby nie poleźli grzać się przy piecykach - ale dzień zeka jest długi, na wszystko czasu wystarczy. Kto już wszedł do zony, zaraz się pochyła - tu drewno, tam drewno, a drewno to ogień w naszym piecyku.

I kryje się po różnych dziurach.

Tiurin kazał, żeby Pawło poszedł z nim do kancelarii. I Cezar też tam skręcił. Cezar to bogacz, dwa razy w miesiącu dostaje paczkę, dał w łapę komu trzeba i jest w kantorku pridurkiem, pomocnikiem technika obliczającego normy.

A reszta sto czwartej od razu w swoją stronę i gazu, gazu, w nogi, w nogi.

Słońce weszło za mgłą, czerwone, nad pustą zoną, nad przysypanymi śniegiem płytami domów, nad ścianami, które zaczęli murować, zrobili tylko fundamenty i rzucili, tu

leży połamane ramię koparki, tam czerpak, gdzie indziej kupa żelastwa, ziemia zryta, doły, jamy, rowy, warsztaty samochodowe podciągnięte pod dach, a na wzniesieniu, gdzie będzie elektrociepłownia, zaczęto pierwsze piętro.

Wszyscy się pochowali. Tylko sześciu wartowników stoi na wieżyczkach, tylko koło kancelarii krzątania. O, ta chwila należy do nas. Główny kierownik robót, mówią, odgrażał się setki razy, że robotę będą wszystkim brygadam przydzielać wieczorem, ale nie dali rady. Bo przez noc wszystko się u nich zdąży wywrócić do góry nogami.

A chwila - nasza! Zanim naczałstwo nie dojdzie do ładu, znajdź sobie ciepły kątek, przysiadź, siedź, jeszcze zdążysz się umordować. Dobrze, jeśli uda się koło pieca, onuce wtedy można przewinać, zagrzać je odrobinę. Wtedy przez cały dzień będzie ciepło w nogi. A jeśli nawet nie przy piecu, to i tak dobrze.

Sto czwarta brygada weszła do wielkiej hali warsztatów samochodowych, oszklonej jeszcze jesienią, trzydziesta ósma brygada odlewała tutaj betonowe płyty. Jedne płyty w szalunkach, inne stoją, leży siatka zbrojeniowa. Hala wysoka, podłoga z ubitej ziemi, ciepło tu nigdy nie będzie, a jednak ogrzewają, węgla nie żałują, nie po to, żeby ludziom było cieplej, ale żeby beton lepiej wiązał. Nawet termometr wisi, i w niedzielę, jeżeli łagier dla czegoś nie wyjdzie do pracy, nocny dozorca pali w piecu.

Trzydziesta ósma oczywiście sama piecyk obsiadła, onuce suszy, nikogo obcego nie dopuści. Nie szkodzi, nam i tutaj, w kącie, dobrze.

Szuchow usiadł - gdzie już nie siedział w tych watowanych spodniach - na brzeżku drewnianej formy oszalowania, oparł się plecami o ścianę. Kiedy się odchylił, buszlat i waciak obciągnęły się, napięły i poczuł, że na lewej piersi, koło serca, uwiera go coś twardego. A to twarde, to skórka chleba w wewnętrznej kieszeni, te pół porcji, które zabrał do obiadu. Zawsze brał tyle do pracy i nigdy nie wyciągał przed czasem. Ale drugą połówkę zjadał przy śniadaniu, a dziś nie zjadł. I zrozumiał Szuchow, że nic mu się nie udało przyoszczędzić - teraz aż go ssało, żeby zjeść ten chleb w cieple. Obiad dopiero za pięć godzin, kawał czasu.

Łamało w krzyżu, a teraz przeszło w nogi, taka w nich słabość. Ech, żeby tak bliżej piecyka!...

Szuchow złożył rękawice na kolanach, rozpiął się, rozwiązał zlodowaciały ochraniacz, ściągnął, złożył w kilkoro i wsunął do kieszeni. Potem wyjął chleb, owinięty w białą ściereczkę, i podtrzymując ściereczką w zanadrzu, żeby ani okruszyna się nie zmarnowała, zaczął pomału, pomalutku odgryzać i żuć. Niósł chleb dobrze ukryty pod ubraniem, grzał go ciepłem własnego ciała, chleb przez to nie zmarł ani trochę.

Nieraz Szuchow w łagrach wspominał, jak to dawniej jadało się na wsi - pełne rynki ziemniaków, całe sagany kaszy, a jeszcze dawniej, zanim nastały kołchozy, mięso jadało się wielkimi kawałami. A mleko? Mleka pili tyle, że mało brzuch nie pękło. A należało inaczej, Szuchow zrozumiał to w łagrach. Jeść trzeba tak, żeby myśleć tylko o jedzeniu, tak jak teraz, kiedy odgryzasz po kawałeczku i smakujesz te kawałeczki językiem, i wysysasz - jakiegoż zapachu nabiera ten czarny gliniasty razowiec! Co Szuchow je już osiem lat, już dziewięć? Prawie nic. A jak haruje! Ho-ho!

Tak zajęty był Szuchow swoimi dwustu gramami, a obok niego rozsiadła się cała sto czwarta.

Dwaj Estończycy, jak dwaj rodzeni bracia, siedzieli na niskiej betonowej płycie i na przemian, to jeden, to drugi, palili połówkę papierosa w tej samej cygarniczce. Obaj Estończycy byli jasnowłosi, wysocy, obaj szczupli, obaj mieli wydatne nosy i wielkie oczy. Trzymali się zawsze razem, jakby nie potrafili żyć jeden bez drugiego. Brygadzysta nigdy ich nie rozdzielał. Jedzeniem dzielili się po połowie, spali na jednej pryczy. A czy stali w kolumnie czekając na kipisz, czy kładli się spać, bez przerwy gadali ze sobą, zawsze jednakowo, po cichu i nieśpiesznie. Nie byli braćmi, poznali się dopiero tutaj, w sto czwartej. Jeden, jak mówiono, był rybakiem z wybrzeża, drugiego rodzice dzieckiem wywieźli do Szwecji, jak nastały Sowiety. A on kiedy dorósł, wymyślił, głupek, żeby wrócić i skończyć w Estonii instytut. No i z miejsca go wsadzili.

Powiadają, że narodowość nic nie znaczy, w każdej nacji, mówią, łobuz się przytrafi. Ale Estończyków Szuchow widział wielu, a na drania wśród nich jeszcze się nie natknął.

Wszyscy tak przysiadali - ten na płycie, ten na szalowaniu, inni wprost na ziemi. Nikomu rano nie chce się mleć językiem, każdy milczy zapatrzonej w swoje myśli. Ta hiena Fetiukow nazbierał niedopałków - on je nawet ze spluwaczki wybiera, nic się nie brzydzi - teraz je rozgniata na kolanach, resztki tytoniu zsypuje na jeden papierek. Fetiukow zostawił na wolności troje dzieci, ale jak poszedł siedzieć, wszystkie się go wyparły, żona wyszła za mąż i nie ma kto mu pomóc.

Bujnowski patrzył na Fetiukowa spod oka, patrzył, aż warknął:

- Po cholere zbierasz te świństwa?! Syfilis pysk ci zeżre! Rzuć to!

Kapitan na okręcie swoim przywykł rozkazywać, ze wszystkimi tak rozmawia, jakby komendy dawał.

Ale Fetiukow od Bujnowskiego w niczym nie zależy, kapitan też nie dostaje paczek. Więc wyszczerzając w niedobrym uśmiechu resztki zębów powiedział:

- Poczekaj, kapitanie, posiedzisz osiem latek, to i ty będziesz zbierał.

Co prawda, to prawda, w łagrze twardszych od kapitana widywano...

- Czego? Czego? – nie dosłyszał głuchawy Sieńka Klewszin. Myślał, że mowa o tym, jak Bujnowski dzisiaj na kipiszu podpadł. - Nie trzeba było się stawiać! - z żalem pokiwał głową. - I nic by nie było.

Sieńka Klewszin człowiek spokojny, biedy zwyczajny. Ogłuchł na jedno ucho jeszcze w czterdziestym pierwszym. Potem dostał się do niewoli, uciekł, złapano go trafił do Buchenwaldu. W Buchenwaldzie cudem się od śmierci wywinął, teraz spokojnie odbywa wyrok. Będziesz się stawiał, powiada, to zginiesz.

Co prawda, to prawda, jęcz, ale się pochylaj. Jak się zaprzesz, to cię złamią.

Aleksiej zanurzył twarz w dłoniach, milczy. Modli się.

Dojadł Szuchow swój chleb aż do samych palców, ale kawałek skórki, półokrągłej skórki z wierzchu bochenka, zostawił. Bo żadną łyżką miski po kaszy tak nie wyczyścisz jak chlebem. Tę skórkę na obiad z powrotem w białą szmatkę zawinął, szmatkę wsadził do wewnętrznej kieszeni waciaka, pozapinał się przed mrozem i był gotów, teraz mogą wyganiać do roboty. Ale lepiej, żeby jeszcze trochę zeszło.

Trzydziesta ósma wstała, rozeszła się, każdy do swojej pracy, ten do betoniarki, ten do zaprawy, tamci do zbrojenia.

Ale ani Tiurin nie nadchodził, ani jego pomocnik Pawło. I choć sto czwarta posiedziała sobie wszystkiego może ze dwadzieścia minut, a dzień pracy - zimowy, skrócony - kończył się o szóstej, wszystkim się wydawało, że spotkało ich wielkie szczęście, że jakby i do wieczora już było blisko.

- Zamieci dawno nie było! - westchnął tęgi, czerwonogęby Łotysz Kildigs. - Przez całą zimę ani jednej zamieci! Co to za zima?

- Ech, przydałaby się zamieć!... - westchnęła brygada.

Kiedy w tutejszych stronach dmie zamieć, to nie tylko nie wyprowadzają do roboty, ale nawet z baraku boją się wypuścić - jeśli nie przeciągną linki od baraku do stołówki, bez trudu można zabłądzić. Jak więzień zamarźnie w śniegu, to pies go trącał. Ale jeżeli ucieknie? A były takie wypadki. Śnieg przy zamieci drobniutki, suchy, a zaspasy wyrastają twarde jak sprasowane, właśnie przez pokryte taką zaspą druty uciekali. Co prawda niedaleko.

Jak się tak zastanowić, to nie ma z zamieci żadnej korzyści. Siedzą zeki zamknięci w barakach - węgla na czas nie będzie, ciepło z baraku wywieje, mąki do łagru nie dowiozą, to chleba nie ma, patrzeć, a tu i w kuchni rady sobie nie dają. I obojętne jak długo trwa zamieć, trzy dni czy tydzień, zaliczają te dni jako wolne i tyleż niedziel pod rząd wyganiają do roboty.

A mimo wszystko zeki lubią zamieć, modlą się o nią. Jak tylko się zerwie mocniejszy wiatr, wszyscy zadzierają głowy:

- Ech, żeby tak jeszcze dowód rzeczowy! - To znaczy śnieg.

Bo z tego śniegu, co go wiatr z ziemi poderwie, nigdy nie wykluje się porządna zamieć.

Któryś poszedł grzać się przy piecu trzydziestej ósmej, szurnęli go stamtąd.

Wszedł do hali Tiurin. Ponury był. Zrozumiała brygada - trzeba będzie coś robić, i to szybko.

- Ta-ak - rozejrzał się Tiurin. - No jak, sto czwarta, wszyscy są?

Nie sprawdzając, bez liczenia, bo w jego brygadzie nikt nigdzie nie mógł odejść, Tiurin szybko zaczął rozdzielać pracę. Estończyków i Klewszina posłał z Hopczykiem, żeby wzięli stojącą opodal skrzynię do rozrabiania zaprawy i zanieśli ją na budowę elektrociepłowni. Więc wyjaśniło się, że brygada przechodzi na nie dobudowaną, opuszczoną od późnej jesieni elektrociepłownię. Dwu innych posłał Tiurin do narzędziowni, gdzie Pawło pobierał narzędzia. Czterech wyznaczył do odgarniania śniegu przy ciepłowni i przed wejściem do maszynowni, i w samej maszynowni, i na sztagach. Dwóm kazał napalić w piecu w maszynowni węglem i podprowadzić gdzieś deski, narąbać. Jednemu kazał zwozić cement na sankach. Dwóm nosić wodę, dwóm piasek, a jeszcze jednemu zgarnąć śnieg z piasku i rozbijać ten piasek łomem.

Tylko Szuchowa i Kildigsa, najlepszych majstrów w brygadzie, do niczego nie wyznaczył. Zawołał ich i powiedział:

- Otóż co, chłopcy! - Nie był starszy od nich, ale takie przyzwyczajenie miał: „chłopcy”

- od obiadu będziecie stawiali ścianę z pustaków żuźlowych na pierwszym piętrze, tam gdzie przerwała jesienią szósta brygada. A teraz trzeba ocieplić maszynownię. Przed wszystkim zabić czymś te trzy wielkie okna. Dam wam jeszcze ludzi do pomocy, tylko wpierw pomyślcie, jak to zrobić. W maszynowni będziemy mieszali zaprawę, będziemy się grzali. Nie ocieplimy, to pomarzniemy jak te psy, jasne?

Może by powiedział coś jeszcze, ale przybiegł do niego Hopczyk, szesnastoletni chłopak, różowiutki jak prosiaczek, na skargę, że tamta brygada nie daje skrzyni do zaprawy, chcą bić. I Tiurin pobiegł tam.

Żeby, nie wiem jak ciężko było zaczynać pracę w taki mróz, jakoś trzeba przez to przejść, najważniejsze, żeby zacząć.

Szuchow i Kildigs popatrzyli na siebie. Nie pierwszy raz pracowali razem i szanowali się nawzajem - za ciesiołkę i za murarkę. Zdobyć na gołym śniegu coś do zabicia tych okien było niełatwo. Ale Kildigs powiedział:

- Wania! Znam jedno takie miejsce, tam gdzie montują bloki, leży niezła rolka papy. Sam ją schowałem. Kopniemy się?

Kildigs, choć Łotysz, rosyjski zna jak własny - niedaleko od nich była wieś starowierów, od małości się uczył. A w łagrach Kildigs jest dopiero dwa lata, ale już wszystko wie: czego sam nie weźmiesz, tego nie wyprosisz.

Na imię ma Jan, ale Szuchow też go woła „Wania”.

Zdecydowali iść po papę. Tylko jeszcze przedtem Szuchow pobiegł na budowę warsztatów samochodowych, żeby zabrać swoją kielnię. Kielnia to dla murarza ważna rzecz, musi dobrze leżeć w ręku i być lekka. Ale na każdym obiekcie taki porządek - wszystkie narzędzia rano się pobiera, a wieczorem się zdaje. I na co trafisz następnego dnia, to już zależy od szczęścia. Ale raz Szuchow oszwabił magazyniera i podłapał najlepszą kielnię. I teraz co wieczór chowa ją w inne miejsce, a rano, jeśli mają murować, wyciąga. Pewnie, że gdyby dziś pognali sto czwartą na Socgorodok, to Szuchow znowu by został bez kielni. A tak to odwalił kamień, wsadził palce w szparę - i kielnia jest.

Szuchow i Kildigs wyszli z warsztatów samochodowych i poszli tam, gdzie leżały baraki. Przy każdym oddechu z ust wylatywały kłęby pary. Słońce już wzeszło, ale nie miało promieni, jak we mgle, a z boków słońca widniało coś niby słupy.

- Słupy? - wskazał głową Szuchow.

- Nam słupy nie przeszkadzają - Kildigs machnął ręką, roześmiał się - byle tylko od słupa do słupa kolczastego drutu nie przeciagnęli, to jest ważne.

U Kildigsa co słowo to żart. Za to go lubi cała brygada. A jak go szanują Łotysze z całego łagru! No, co prawda odżywia się Kildigs prawidłowo, dwie paczki co miesiąc, rumiany, jakby w ogóle nie siedział w łagrze. Takiemu, rzecz jasna, żarty w głowie.

Zona ich obiektu jest ogromna - zanim przejdiesz całą, to ho-ho! Trafili po drodze na chłopaków z osiemdziesiątej drugiej brygady, znowu im kazano wyrąbywać doły. Nawet nieduże, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów i też pół metra w głąb, ale ta ziemia i latem jest jak kamień, a teraz jeszcze ścięta mrozem - spróbuj ugryźć. Kują ją kilofami, ześlizguje się kilof, tylko iskry się sypią, a ziemia jak stal. Stoją chłopaki, każdy nad swoim dołkiem, popatrzą przed siebie - grzać się nie ma gdzie, a odejść nie wolno - i znowu za kilof. Od kucia przynajmniej cieplej.

Spostrzegł wśród nich Szuchow znajomego, spod Wiatki, poradził mu:

- Rozpalcie ognisko nad każdym dołkiem, kopacze. Odtajałaby ziemia.

- Nie pozwalają - westchnął znajomek spod Wiatki. - Drzewa nie dają.

- Trzeba samemu znaleźć.

A Kildigs tylko splunął.

- No, sam powiedz, Wania, gdyby naczałstwo miało rozum, czyby postawiło ludzi, żeby na taki mróz kilofami ziemię dłubali?

Zaklął jeszcze Kildigs raz i drugi i zamilkł, na mrozie się nie rozgadasz. Szli dalej, aż przyszli na to miejsce, w którym, pogrzebane pod śniegiem, leżały elementy domów.

Szuchow lubił pracować z Kildigsem, z tym tylko bieda, że Kildigs nie pali, tytoniu mu w paczkach nie przysyłają.

I rzeczywiście, spostrzegawczy ten Kildigs, podnieśli we dwóch jedną deskę, drugą, a pod nimi wciśnięta rolka papy.

Wyciągnęli. Ale jak nieść? Zauważą z wieżyczki - to nic, gołębiarze mają tylko jeden kłopot, pilnować, żeby zeki nie puciekali, a wewnątrz zony możesz robić, co chcesz, choćbyś wszystkie domy porąbał na drwa. Jeśli natkniesz się na strażnika, to też nie szkodzi, on sam też tylko wypatruje, co by mu się przydało w gospodarstwie. Więźniowie także mają gdzieś te domy. Brygadziści tak samo. Troszczy się o nie z wolnych tylko kierownik robót, a spośród zeków dziesiętnik i Szkuropatienko, długi i chudy. Szkuropatienko to żadna władza, po prostu zek. Normę mu zaliczają tylko za to, że tych domów przed zekami pilnuje, rozwłóczyć ich nie daje. Ten właśnie Szkuropatienko najprędzej ich przyuważy na otwartej przestrzeni.

- Wiesz co, Wania, nie możemy nieść na płask - wymyślił Szuchow. - Weźmiemy ją na sztorc między siebie i pójdziemy ostrożnie, sobą zasłaniając. Z daleka nikt nie pozna.

Nieźle to Szuchow wymyślił. Trzymać rolkę rękami niewygodnie, więc ją ścisnęli między sobą jakby trzeciego człowieka i ponieśli. Z boku tyle widzisz, że dwóch ludzi idzie blisko siebie.

- Jak kierownik zobaczy papę na oknach, to i tak się wyda - powiedział Szuchow.

- No to co? - zdziwił się Kildigs. - Powiemy, że jak przyszliśmy, to tak było. Co, mieliśmy zrywać?

Też racja.

Uuu, palce zgrabiały w przetartych rękawicach, czucia w nich nie ma. A lewy walonek jakoś się trzyma. Walonki najważniejsze. Ręce przy robocie się rozgrzeją.

Śnieżnym ugorem wyszli na ślad płóz prowadzący od narzędziowni na ciepłownię. Widać cement już wieźli.

Ciepłownia stoi na wzniesieniu, tuż za nią kończy się zona. Od dawna nikt tam nie zachodził, wszystkie podejścia spowite gładkim śniegiem. Tym wyraźniej widać koleiny płóz i świeżą ścieżkę - głębokie ślady, nasi tędy szli. Odgarniają już drewnianymi łopatami śnieg koło ciepłowni, oczyszczają drogę dla samochodu.

Dobrze by tu pracował dźwig. Ale silnik w dźwigu się spalił i, zdaje się, nikt go do tej pory nie naprawił. Czyli że znowu na pierwsze piętro wszystko na własnych plecach. Zaprawę i pustaki.

Stała ciepłownia przez dwa miesiące jak szary szkielet, porzucona w śniegu. Ale oto przyszła sto czwarta. Ledwie się w nich dusze kołaczą, puste brzuchy zacisnęli brezentowymi pasami, mrozisko trzaska, nie ma gdzie się zagrzać, ognia ani iskiereki. A jednak przyszła sto czwarta i życie zaczyna się od nowa.

Przed samym wejściem do maszynowni rozleciała się skrzynia do zaprawy. Ledwo się trzymała, Szuchow nie liczył, że ją doniosą całą. Brygadzista dla porządku puścił wiąchę, ale przecież widzi, że nikt nie zawinił, dał spokój. Tymczasem nadciągnęli Kildigs i Szuchow ściskając między sobą rolkę papy. Brygadzista się ucieszył, zaraz wszystkich poprzestawiał. Szuchowowi kazał oprawiać rury do piecyka, żeby szybciej można było rozpalić, Kildigsowi kazał pozbijać skrzynię, dwu Estończyków przydzielił mu do pomocy, a Sieńce Klewszinowi rzucił siekierę, niech naciosa długich żerdzi, żeby było do czego poprzybijać papę - okno przecież dwa razy szersze niż rolka. Skąd wydostać drzewo na żerdzie? Na ogrzanie hali kierownik nie wyda desek. Rozejrzał się brygadzista, wszyscy się rozejrzeli - jest tylko jedno wyjście. Trzeba odbić te parę desek, co służyły za poręcz przy sztagach na pierwsze piętro; jak będą wchodzić uważnie, to nie pospadają. No bo co zrobić?

Wydawałoby się - po diabła więzień ma przez dziesięć lat w łagrze harować? Nie chce, to niech nie robi, i cześć. Byłe do wieczora zeszło, a noc już nasza.

Ale nic z tego. Po to wymyślono brygadę. Nie taką brygadę przecież jak na wolności, gdzie Iwanowi Iwanyczowi płacą oddzielnie, a Piotrowi Piotrowiczowi oddzielnie. Brygada w łagrze to takie urządzenie, żeby naczalstwo nie musiało zeków poganiać, żeby więźniowie poganiali samych siebie. W brygadzie jest tak: albo wszyscy dostają dodatkowy chleb, albo wszyscy wyzdychają. Ty, bydlaku, nie pracujesz, a ja przez ciebie będę siedział głodny?! O, nie, i ty haruj, ścierwo!

Jeżeli w dodatku przydarzy się taka sytuacja jak dzisiaj, to dopiero nie ma chwili, żeby odetchnąć. Czy chcesz, czy nie chcesz, ganiasz, ledwo nóg nie pogubisz. Jeśli za dwie godziny nie będziemy mieli się gdzie zagrzać, szczeźniemy tu wszyscy ze szczętem.

Pawło już przyniósł narzędzia, tylko wybierać. Parę kawałków rury do piecyka też przyniósł. Co prawda narzędzi blacharskich nie ma, ale jest ślusarski młotek i siekierka. Jakoś da się radę.

Szuchow uderza rękawicą o rękawicę, montuje rury, zbija na złączach. Znów pozabija dłonie i znów stuka na złączach. (A kielnię schował niedaleko. W brygadzie wprawdzie sami swoi, ale mogą podmienić. Choćby i Kildigs).

Jakby kto powymiałał z głowy wszystkie myśli, Szuchow o niczym teraz nie wspomina, o nic się nie troszczy, tylko kombinuje, jak pozostawiać kolanka rury, jak rurę przeprowadzić, żeby nie dymiło. Posłał Hopczyka na poszukiwanie drutu, trzeba podwiesić wylot rury w oknie.

Jest jeszcze w kącie zwykły niski piec i komin z cegły. Piec ma kuchenną płytę, jak płyta się rozżarzy do czerwoności, odmarza na niej piasek i wysycha. Napalono już w tym piecu, kapitan i Fetiukow noszą piasek na nosilkach, sypią na płytę. Do noszenia piasku nie trzeba rozumu. Brygadzista wyznacza więc do tej roboty byłych dyrektorów. Fetiukow ponoć był wielkim kierownikiem w jakimś urzędzie. Samochód miał do dyspozycji.

W pierwszych dniach Fetiukow zadzierał nosa wobec kapitana, pokrzykiwał na niego nawet. Ale kapitan dał mu raz w zęby i w ten sposób się pogodzili.

Ludzie przysuwali się już do pieca z piaskiem, żeby się ogrzać, ale brygadzista zagroził:

- Ej, żebym ja któremu nie przygrzał! Najpierw zróbcie, co trzeba.

Bitemu psu wystarczy kij pokazać. Mróz jest srogi, ale brygadzista sroższy od mrozu. Rozeszli się ludzie z powrotem do swoich zajęć.

Szuchow słyszy, jak brygadzista mówi po cichu do Pawła:

- Ty zostań tutaj, trzymaj ich krótko, a ja teraz pójde, procenty trzeba podliczyć.

Od procentu normy więcej zależy niż od samej roboty. Jak brygadzista mądry, to troszczy się mniej o robotę, a przede wszystkim o procenty. To norma nas żywi. Jak coś nie zostało zrobione, to trzeba przekonać, że zrobione, jak za coś kiepsko płacą, to trzeba tak zakręcić, żeby wyszło drożej. Po to brygadziście potrzebny wielki rozum i sztama z tymi od obliczania norm. Musi im dawać w łapę.

Jak się tak zastanowić, to kto ma korzyść z tych procentów? Łagier. Łagier przez to zgarnia od budowy dodatkowe tysiące, premie daje swoim lejtnantom. Wołkowej dostaje premię za swoją nahajkę. A zek dostanie dodatkowe dwieście gramów chleba na kolację. Dwieście gramów decyduje o życiu. Dwieście gramów Bielomorkanał zbudowało.

Przynieśli dwa wiadra wody, lód ją pokrył, gdy nieśli. Pawło zdecydował, że nie warto nosić. Na miejscu śniegu się natopi, będzie szybciej. Postawili wiadra na piecu.

Hopczyk zwędził nowy kabel aluminiowy, taki jakiego monterzy używają do instalacji.

Prosi:

- Iwan Denisycz! Dobre łyżki by z tego były. Nauczycie mnie, jak się odlewa łyżki?

Iwan Denisowicz lubi tego Hopczyka, ladaco. Własnego synka pochował dawno, jeszcze dzieckiem, w domu teraz tylko dwie dorosłe córki. Hopczyka posadzili za to, że nosił banderowcom mleko do lasu. Wyrok dali jak dorosłemu. Hopczyk jest przymilny jak młody cielak, do wszystkich chłopów się garnie. Młody, a już chytrutki, sam zjada, co mu przyślą z domu, czasem to nawet po nocach.

Wszystkich przecież i tak nie nakarmisz.

Odłamali drutu na łyżki, schowali w kącie. Szuchow zbił z dwu desek jakby drabinę, kazał Hopczykowi wspiąć się, podwiesić rurę. Hopczyk jest lekki jak wiewiórka, wdrapał się po szczebelkach, wbił gwóźdź, zahaczył drut, przeciągnął go, pod rurą skreślił. Szuchow się nie polenił, na wylot rury założył jeszcze jedno kolanko do góry i jeszcze rurę. Dzisiaj wiatru nie ma, a jutro może być, więc zrobił tak, żeby dymu nie nawiewało. Trzeba z głową, piecyk robimy dla siebie.

Sieńka Klewszin już nastrugał długich żerdeń. Hopczykowi kazał przybijać. Łazi, diabełek, tylko coś woła z góry.

Słońce podniosło się wyżej, porozganiało mgły, słupy już znikły, zaświeciło słońce purpurowo. Napalili w piecyku kradzionym drzewem. Od razu zrobiło się weselej.

- Styczniove słoneczko krówce boki ogrzało! - oznajmił Szuchow.

Kildigs skończył zbijanie skrzyni do zaprawy, stuknął siekierką, zawołał:

- Pawło, za tę robotę mniej niż sto rubli od brygadzysty nie wezmę!

Śmieje się Pawło:

- Sto gramów dostaniesz.

- Prokurator dołoży! - krzyczy z góry Hopczyk.

- Zostawcie to, zostawcie! - krzyczy Szuchow. Zaczęli ciąć papę nie tak jak trzeba.

Pokazał jak.

Ciągnęło ludzi do żelaznego, piecyka. Pawło ich rozgonił. Kildigsowi dał człowieka do pomocy i kazał porobić skrzynie do zaprawy, żeby było w czym ją nosić na górę. Do noszenia piasku dostał jeszcze dwóch. I na górę paru posłał, żeby odgarnęli śnieg z pomostów i z samej ściany. A jeszcze jednemu kazał zagrzany piasek z płyty przerzucać do skrzyni.

Na dworze zawarczał motor - zaczęli zwozić pustaki, ciężarówka przedziera się z trudem. Pawło wybiegł, macha rękami, pokazuje, gdzie zrzucić pustaki.

Przybili jeden płat papy, przybili drugi. Papa to żadna osłona. Papier zawsze będzie papierem. A przecież jakby ścianę kto postawił. Ciemniej teraz w maszynowni. Przez to od pieca jaśniejszy blask pada.

Aloszka przyniósł węgla. Jedni krzyczą: syp! Inni: nie syp! Pogrzejemy się przy drzewie!

Stanął, nie wie, kogo słuchać. Fetiukow przysiadł się do pieca, przytknął, dureń, walonki do samego ognia. Kapitan podniósł go za kołnierz, popchnął w stronę nosilek:

- Idź nosić piasek, zelówo!

Kapitan w łagrze jak na okręcie - powiedziano, że ma być zrobione, to znaczy, że ma być zrobione. Kapitan bardzo wychudł przez ostatni miesiąc, a przecież przykłada się do roboty.

Mało wiele potrwało i zabili papą trzy okna. Teraz tyle światła co od drzwi. Mrozem stamtąd ciągnie. Pawło kazał zabić górną część drzwi, tylko dolną zostawić, żeby człowiek mógł wejść schylając głowę. Zabili.

Tymczasem zwieźli i zrzucili trzy wywrotki pustaków z żużlobetonu. Teraz problem - jak je wciągać na górę, skoro nie ma dźwigu?

- Murarze! Chodymycie, podywymoś! - zaprosił Pawło.

Takie zaproszenie to zaszczyt. Szuchow, Kildigs i Pawło poszli na górę. Sztagi i tak były wąskie, a teraz, kiedy Sieńka poodbijał poręcze, trzeba się przyciskać do ściany, żeby nie zlecieć. Co jeszcze niedobre, to że do szczebelków na sztagach przymarzył śnieg, wyokrąglił je, noga nie ma się o co zaprzeć, jakże zaprawę będą nosić?

Obejrzelili miejsce, w którym będą murować - już tam łopatomi odgarniają śnieg. O, tutaj. Trzeba będzie z zaczętej ściany siekierkami obrąbać lód, odmieść miotłą.

Przymierzeli, którędy się będzie podawać pustaki. Popatrzyli na dół. Zdecydowali, że czterech z dołu musi rzucać pustaki na pomost, a dwóch z pomostu przerzucać na górę, na górze też dwóch będzie przynosiło murarzom - tak pójdzie prędzej, niż gdyby nosili na sztagach.

Na górze wiaterek, nie za mocny, ale zawiewa. Zmarzniemy przy murowaniu. Ale kiedy ściana będzie wyższa, to osłoni, będzie znacznie cieplej.

Szuchow uniósł głowę ku niebu i się zdumiał - niebo czyste, a słońeczko już prawie obiednie. Aż dziw, jak ten czas leci przy robocie! Ile to już razy Szuchow zauważył, że dni w

łagrze mijają, zanim się obejrzysz. A do końca wyroku ciągle tak samo daleko, ani rusz nie chce być bliżej.

Zeszli na dół, a tam wszyscy się rozsiedli przy piecyku, tylko kapitan nosi piasek z Fetiukowem. Rozeźlił się Pawło, ośmiu ludzi pogonił zaraz do pustaków, dwóm kazał nasypać cementu do skrzyni i wymieszać z piaskiem na sucho, jednego posłał po wodę, jednego po węgiel. A Kildigs do swojej drużyny:

- No, dzieci, trzeba nosiłki wykończyć.
- Może ja pomogę? - Szuchow sam naprasza się do roboty.
- Pomożit - zgadza się Pawło.

Tymczasem przywieźli kocioł, żeby topić śnieg do zaprawy. Zasłyszeli od kogoś, że już jakoby dwunasta.

- Nie inaczej jak dwunasta - oznajmił Szuchow. - Słoneczko już się zaraz zacznie zniżać.

- Jeśli zaraz zacznie się zniżać - odezwał się kapitan - to znaczy, że nie dwunasta, a pierwsza.

- A to dlaczego? - zdumiał się Szuchow. - Z dziada pradziada wiadomo, że słońce najwyżej stoi w samo południe.

- Kiedyś tak było - uciął kapitan. - Ale od tego czasu wydano dekret i słońce teraz najwyżej stoi o pierwszej.

- A któż to taki dekret wydał?

- Władza radziecka!

Kapitan wyszedł z nosiłkami, ale Szuchow i tak by się nie spierał. Może i słońce także ichnim dekretem się podporządkowuje.

Poprzybijali jeszcze, podobijali, cztery skrzynki gotowe.

- Dobra, posydymo, pogrijemoś - powiedział Pawło do obu murarzy. - I wy, Sieńka, pislja obida też będziecie murować. Sidajte!

Zasiedli koło pieca jak należy. Tak czy owak, już nie złączą murować przed obiadem, nie warto rozpoczynać zaprawy, zastygnie.

Węgiel pomalutku się rozpałił, teraz bije od niego równomierny żar. Tylko przy piecyku można go poczuć, a w całej hali zimno jak przedtem.

Pościgali rękawice wszyscy czterej, dłońmi koło piecyka wodzą.

Nigdy natomiast nie trzeba trzymać za blisko ognia nóg, jeśli obute - to się rozumie. Jeśli kto ma buty, to skóra na nich popęka, jeśli walonki - to zawilgną, zaparują, ani trochę

cieplej nie będzie. Jeśli jeszcze bliżej ognia trzymać, to można nadpalić. A wtedy w dziurawych trzeba chodzić do wiosny, na inne nie ma co liczyć.

- Szuchowowi to dobrze - zaczyna Kildigs. - Szuchow jedną nogą już jakby w domu.

- O, tą bosą - wtrącił któryś.

Roześmiali się. Szuchow ściągnął lewy nadpalony walonek, grzeje onuce.

- Szuchowowi wyrok się kończy.

Kildigsowi wlepili dwadzieścia pięć. To dawniej był taki czas szczęśliwy, że wszystkim jak leci dawali po dziesięć. A od czterdziestego dziewiątego zaczął się inny czas - wszystkim po dwadzieścia pięć, nie bacząc na nic. Dziesięć można jeszcze wytrzymać, nie zdechnąć, ale spróbuj no przeżyć dwadzieścia pięć!

Miłe to Szuchowowi, że tak go wszyscy palcami wytykają: o, temu się wyrok kończy, ale sam nie bardzo w to wierzy. No bo wszystkich tych, którym wyroki się kończyły w czasie wojny, trzymali do specjalnego zarządzenia, do czterdziestego szóstego. Kto dostał trzy lata, ten odsiedział o pięć dłużej. Prawo można wykręcać jak kota ogonem. Skończyła ci się dziesiątka, powiedzą, to masz jeszcze jedną. Albo poślą na zesłanie.

A czasem i pomyślisz i aż cię zatka - przecież wyrok się kończy, już się z motka prawie wszystko odmotowało... Boże! Nogami tymi oto własnymi będziesz stapał po wolnej ziemi, coo!

Ale głośno o tym mówić nie przystoi staremu łagierownikowi. I Szuchow do Kildigsa:

- A ty się nie patrz na te swoje dwadzieścia pięć. Przyjdzie odsiedzieć dwadzieścia pięć czy nie przyjdzie, to jeszcze widłami na wodzie pisane. A ja już odsiedziałem osiem jak obszył, tego mi już nikt nie odbierze.

Tak się żyje, z mordą przy ziemi, i nie ma czasu, żeby pomyśleć ani jak człowieka posadzili, ani kiedy stąd wyjdzie.

Z akt by wynikało, że Szuchow poszedł siedzieć za zdradę ojczyzny. Przyznał się, że owszem, poddał się do niewoli pragnąc zdradzić ojczyznę, że potem wrócił z niewoli, żeby wypełnić zadanie niemieckiego wywiadu. Jakie to miało być zadanie, tego już ani sam Szuchow nie potrafił wymyślić, ani śledczy. Więc napisali po prostu tak: zadanie.

W kontrwywiadzie tłukli Szuchowa zdrowo, więc wyrachowanie miał proste: nie podpiszesz, dostaniesz czapę, a podpiszesz, to choć trochę jeszcze pożyjesz. Podpisał.

A było tak. W lutym w czterdziestym drugim, na północno-zachodnim froncie cała armia znalazła się w okrążeniu, żarcia z samolotów im nie rzucali, zresztą nie było wtedy samolotów. Doszło do tego, że strugali kopyta zdechłych koni, moczyli te strużyny w wodzie, żeby namiękły, i jedli. Nie było czym strzelać. Więc Niemcy pomalutku wyłapywali ich po

lasach. Z jedną taką grupą Szuchow trafił do niewoli, pobył w niej parę dni w tych samych lasach, a potem uciekli w pięciu. Szli lasami, przekradali się mokradłami, jakimś cudem wyszli na swoich. Tylko że dwu swój fizylier położył z pepeszy na miejscu, trzeci umarł z ran, tylko dwaj doszli. Gdyby byli mądrzejsi, toby powiedzieli, że błądzili po lasach, nic by im za to nie było. Ale się przyznali, że z niemieckiej niewoli. Z niewoli? Ach, taka wasza mać! Faszystowski agenci! I za kraty. Gdyby choć doszło wszystkich pięciu, to może by porównano zeznania, może by uwierzono w końcu, ale było ich tylko dwu; nic nie poradzisz, zmówili się, ścierwa, znaczy, wymyślili tę ucieczkę z niewoli.

Sieńka Klewszin usłyszał poprzez tę swoją głuchotę, że mowa o ucieczce, i bardzo głośno powiedział:

- Ja trzy razy z niewoli uciekałem. I trzy razy złapali.

Sieńka tyle wycierpiał, że teraz przeważnie milczy, nie słyszy, co ludzie mówią, do rozmów się nie wtrąca. Niewiele więc o nim wiedzą, tyle tylko, że siedział w Buchenwaldzie, nie należał tam do tajnej organizacji, prznosił broń do obozu, przygotowywali powstanie. Wiedzą jeszcze, że go Niemcy wieszali za wykręcone do tyłu ręce i bili pałkami.

- Ty, Wania, przesiedziałeś osiem, ale w jakich łagrach? - Kildigs się nie zgadza. - Siedziałeś w zwyczajnych, tam nawet mogliście z babami spać. Numerów nie nosiliście. Spróbuj w katorżnym przesiedzieć osiem lat! Jeszcze nikt nie wysiedział.

- Z babami!.. Z babami, nie z babami...

- To znaczy - z bierwionami.

Szuchow zapatrzył się w palenisko, wspomina te siedem lat na Północy. Wspomina, jak przez trzy lata spuszczał na bindudze pieńki na deski do skrzynek i podkłady kolejowe. Ognisko na wyrębie tak samo migotało, nie w dzień, ale jak w nocy pracowali. Komendant wydał rozkaz - jeśli brygada nie wykona normy, zostaje na noc w lesie.

Wlekli się wtedy do łagru po północy, a rano znów do lasu.

- Niece, braciszku... tu jest spokojniej, szkoda gadać - zaseplecił. - Zrobione czy nie zrobione, kończymy o swojej godzinie, takie tu prawo. Minimum tu też o sto gramów wyższe. Da się żyć. Niech się nazywa, że specjalny, numery ci przeszkadzają, czy co? Numer nic nie waży.

- Spokojniej! - syczy Fetiukow. Ma się ku przerwie, wszyscy schodzą się do ognia. - Ludzi po nocach mordują! Ładny spokój!

- Nie ludzi, a stukacziw! - Pawło pogroził Fetiukowowi palcem.

Rzeczywiście, coś nowego zaczęło się dziać w łagrze. Dwóch znanych kapusiów zaciukali na ich własnych pryczach, w czasie pobudki. I jeszcze jednego człowieka, Bogu

ducha winnego - pomylili prycze, czy co? Trzeci kapuś poleciał do komendy i poprosił, żeby go ukryli w bunkrze, za murami. Dziwne... Tego nie było w zwyczajnych łagrach. Zresztą i tutaj też...

Zawyła syrena. Nie od razu z całej siły zawyła, z początku ochryple, jakby oczyszczała sobie gardło.

Pół dnia z głowy! Przerwa obiadowa!

Oj, przegapiliśmy. Dawno trzeba było iść do stołówki, zająć kolejkę. Na obiekcie jest brygad jedenaście, a w stołówce pomieszczą się naraz najwyżej dwie.

Brygadzisty ciągle jeszcze nie ma. Pawło powiódł bystrym spojrzeniem i postanowił:

- Szuchow i Hopczyk pójdą ze mną! Kildigs! Jak tylko przyślę do was Hopczyka, wiedyt zaraz brygadę!

Ich miejsca przy piecu od razu zajęto, obstąpili ten piecyk jak babę, pchają się wszyscy, obłapiają prawie.

- Pobudka wstaaa! - krzyczą chłopaki. - Wolno palić!

Patrzą po sobie, który zapali. Żaden nie zapala, albo tytoniu nie mają, albo chowają, nie chcą przy wszystkich.

Szuchow i Pawło wyszli na dwór. Hopczyk biegnie za nimi jak zajaczek, - Ociepliło się - od razu poczuł Szuchow. - Osiemnaście stopni, nie więcej. Lepiej się będzie murowało.

Popatrzyli na pustaki. Ludzie już sporo przerzucili na pomost, a niektóre na sam strop, na pierwsze piętro.

Słońce Szuchow także sprawdził, mrużąc oczy, w związku z kapitańskim dekretem.

W szczerym polu wiatr hula, przewiewa, szczypie mróz. Żebyś sobie nie myślał, żebyś nie zapomniał, że to styczeń.

Kuchnia obiektu to nieduża szopa zbita z nie ciosanych belek wokół pieca. Obili ją przerdzewiałą blachą, żeby uszczelnić szpary. Przepierzenie dzieli szopę na kuchnię i na stołówkę. I z tej, i z tamtej pod nogami goła ziemia, podłogi nie ma. Zorali ziemię butami, wydeptali górki i dołki. A cała kuchnia to kwadratowy piec z wmurowanym kotłem.

Krząta się w tej kuchni dwóch, kucharz i instruktor sanitarny. Rankiem, jak wychodzą z łagru, kucharz pobiera kaszę z głównej kuchni obozowej. Na głowę wypada tego pięćdziesiąt gramów, na brygadę jakieś kilo, na cały obiekt uezbiera się tego prawie pud. Kucharz sam tego worka kaszy nie będzie taszczył trzy kilometry, daje go nieść fagasowi. Woli dać potem takiemu dodatkową porcję z doli więźniów, niż samemu się nadźwigać. Wody także kucharz sam nie nosi ani drew nie rąbie, ani w piecu nie rozpala. Wszystko to robią robole i inwalidzi, też za dodatkową miszkę, kucharz z cudzego daje, nie żałuje. Jest

zarządzenie, żeby jeść nie wychodząc ze stołówki, miski także trzeba przynosić z łagru co dzień, na obiekcie zostawiać nie można, boby w nocy wolni rozkradli, więc je przynoszą, ale nie więcej jak pół setki, myje się je na miejscu i najszybciej oddaje (ten co nosi miski, też dostaje dodatkową porcję). Jeszcze jeden fagas stoi przy drzwiach, pilnuje, żeby misek nie wynosili, z miską nie wypuszcza. Ale żeby nie wiem jak pilnować, zeki zawsze wyniosą, namówią, zagadają, odwrócą uwagę. Trzeba więc, żeby jeszcze jeden zbieracz obszedł calusieńki obiekt, pozbierał brudne miski i przyniósł je z powrotem do kuchni. Temu porcję i temu porcję.

A kucharz tyle tylko, że sypie do kotła kaszę i sól, dzieli tłuszcz, do kotła i dla siebie. Dobry tłuszcz do ludzi nie dotrze, a kiepski w całości idzie do kotła. Zeki wołają więc, żeby magazyn wydał kiepski tłuszcz. Kucharz tyle tylko robi, że miesza kaszę w czasie gotowania. Instruktor sanitarny nawet tego się nie tknie - siedzi, patrzy. Dogotuje się kasza, instruktor je, ile wlezie. I kucharz też - ile wlezie. Nadejdzie dyżurny brygadzysta - zmieniają się codziennie - próbuje, niby sprawdza, czy można ludzi taką kaszą nakarmić. Dyżurny brygadzysta dostaje podwójną porcję. A potem jeszcze raz, kiedy karmi brygadę.

Później wyje syrena. Schodzą się brygady, stają w kolejce, kucharz w okienku wydaje miski, dno takiej miski pokryte kaszą, a ile tej twojej kaszy, o to ani zapytać, ani sprawdzić; kij ci w oko, jeśli mordę otworzysz.

Gwizdże wiatr nad gołym stepem, latem suchy, zimą mroźny. Od stworzenia świata nic na tym stepie nie rosło, a między czterema rzędami drutów tym bardziej nie wyrośnie. Zboża tu tyle, co mąki w piekarni, owies się kłosi, ale tylko w magazynach żywnościowych. Choćby ci grzbiet pękł od roboty, choćbyś nosem się podpierał, nie wydusisz jedzenia z tej ziemi, tyle go będziesz miał, ile ci naczałstwo wyda. Przez kucharzy, przez fagasów, przez pridurków nie dostaniesz nawet tego, co ci się należy. Tu kradną i w zonie kradną, i przedtem jeszcze, w magazynach, kradną. Ci, co kradną, kilofa do ręki nie biorą. A ty haruj i bierz, co ci dają. I odchodź od okienka.

Silniejszy słabszemu nie przepuści.

Pawło, Szuchow i Hopczyk weszli do stołówki, a tam zwarty tłum, spoza ludzkich pleców nie widać ani ławek, ani krótkich stołów. Niektórzy jedzą siedząc, ale większość stoi.

Osiemdziesiąta druga brygada, ci, co dłubali dołki do południa, nie mając się gdzie zagrzać, pierwsza zajęła miejsce, jak odgwizdano. Nawet jak który zje, to nie wychodzi, no bo gdzie się jeszcze zagrzeje? Wymyślają im, ale niby groch o ścianę, wszystko lepsze niż mróz.

Pawło i Szuchow przepchnęli się łokciami. W sam raz nadeszli, jedna brygada akurat odbiera miski i tylko jedna czeka w kolejce, od nich też zastępcy brygadzystów stoją. Inne brygady będą już za nami.

- Miski, miski! - krzyczy z okienka kucharz, już mu je podają. Szuchow także zbiera i podaje, nie w nadziei na dodatkową kaszę, ale po prostu żeby było szybciej.

Teraz za przepierzeniem fagasy myją miski. To już za kaszę.

Kucharz zaczął wydawać temu, który stał przed Pawłem. Pawło krzyknął ponad głowy:

- Hopczyk!

- Tutaj jestem! - słychać od drzwi. Głosik cieniutki jak u koźlęcia.

- Leć po brygadę!

Pobiegł.

Najważniejsze, że kasza dzisiaj dobra, najlepsza kasza, owsianka. Owsianka bywa rzadko. Przeważnie jest magara, dwa razy na dzień, albo zacierka z mąki. A w owsiance najsytniejszy wywar.

Ileż to owsa Szuchow zadawał koniom za młodu, a nigdy nie pomyślał, że z całej duszy będzie tęsknił do garstki takiego owsa!

- Miski! Miski! - wołają z okienka.

Przyszła kolej na sto czwartą. Zastępca brygadzysty, ten co stał przed nimi, dostał do swojej miski porcję podwójną, jak dla brygadzysty, odszedł od okienka.

Też kosztem ludzi to idzie i też nikt nie protestuje. Każdy brygadzysta dostaje taką porcję i jak tam sobie chce, albo sam zje, albo odda zastępcy. Tiurin przeważnie oddaje Pawłowi.

Szuchow ma teraz nowe zajęcie, docisnął się do stołu, pogonił dwu zdechłaków, jakiegoś robociarza przeprosił po dobremu, opróżnił kawałek stołu, taki że go starczy na dwanaście misek, jeśli ciasno ustawiać, wtedy na nich jeszcze sześć można postawić jako drugą kondygnację, i jeszcze dwie na samej górze. Teraz trzeba odbierać miski od Pawła, jeszcze raz po nim przeliczać i pilnować, żeby jakiś obcy nie ściągnął miski ze stołu. A także żeby nikt łokciem nie trącił, nie rozlał. Tymczasem naokoło wstają z ławek, siadają, jedzą. Trzeba ciągle uważać, czy ze swoich jedzą, czy do naszych się nie dobrali.

- Dwie! Cztery! Sześć! - kucharz liczy za okienkiem. Podaje do rąk po dwie od razu. Tak mu wygodniej, trudniej się pomylić.

- Dwi, czotyri, szist - półgłosem powtarza w okienko Pawło. I podaje Szuchowowi też po dwie naraz. Szuchow stawia je na stole. Głośno za Pawłem nie powtarza, ale liczy uważniej niż oni obaj.

- Osiem, dziesięć.

Czemu Hopczyk jeszcze nie nadchodzi z brygadą?

- Dwanaście, czternaście... - liczą.

Zabrakło misek w kuchni. Szuchow widzi przez ramię Pawła, że kucharz postawił w okienku dwie miski, trzyma je, ale znieruchomiał, jakby się zamyślił. Widocznie się odwrócił i wymyśla pomywaczom. A tymczasem podają mu do okienka całą piramidę opróżnionych już misek. Kucharz puścił dwie stojące miski, podaje tę piramidę za siebie.

Szuchow zostawił wszystkie swoje miski na stole, przełożył nogę przez ławkę, przyciągnął obie miski i powtórzył półgłosem, jakby nie do kucharza, tylko do Pawła:

- Czternaście.

- Zostaw! Gdzie ciągniesz? - rozdarł się kucharz.

- To nasz - uspokaja Pawło.

- To co, że wasz?! Rachunek mi mylicie!

- Czternaście - wzruszył ramionami Pawło. Sam by nie próbował misek podprowadzić, jako zastępca brygadzisty musi dbać o swój autorytet, ale teraz przecie powtarza tylko za Szuchowem, gdyby coś, będzie można zwalić na niego.

- „Czternaście” już mówiłem - denerwuje się kucharz.

- No to co, że mówiłeś? Aleś nie dał, przetrzymałeś! - Szuchow podniósł głos. - Chodź, przelicz, jak nie wierzysz. Masz, wszystkie stoją na stole.

Szuchow darł się na kucharza, ale zdążył zauważyć przepychających się do okienka Estończyków i natychmiast oddał im obie miski. Zdążył także wrócić do stołu, sprawdzić, że wszystko w porządku, że sąsiedzi nie ściągnęli żadnej miski, choć mogli bez trudu.

W okienku ukazała się w całej krasie czerwona morda kucharza.

- Gdzie miski? - zapytał ostro.

- Masz, proszę! - darł się Szuchow. - Odsuń się, chłopie, nie zasłaniaj! - odepchnął któregoś. - O, dwie! - dwie miski z drugiej kondygnacji uniósł do góry. - A tu masz trzy rzędy po cztery, licz, zgadza się?!

- A brygada jeszcze nie przysłała? - niedowierzająco rozejrzał się kucharz. Ledwie się mieścił w wąskim otworze okienka, specjalnie takim wąskim, żeby mu ze stołówki nie zaglądali, ile jeszcze w kotle zostało.

- Ni, nema szcze brygady - pokręcił głową Pawło.

- To po kiego wała zajmujecie miski, jeśli brygady jeszcze nie ma?! - wściekał się kucharz.

- Jest brygada, już idą! - krzyknął Szuchow.

Wszyscy już usłyszeli głos kapitana od drzwi, jak z kapitańskiego mostku:

- Czego się pchacie? Zjadłeś, to wychodź! Pozwól innym!

Kucharz coś jeszcze burczał, wyprostował się, znowu w okienku widać było tylko jego ręce.

- Szesnaście, osiemnaście.

Nalał ostatnią, podwójną:

- Dwadzieścia trzy. Koniec!

Następna!

Ludzie z brygady przepychali się do Pawła. Pawło podawał im miski, niektórym ponad głowami siedzących, na sąsiedni stół.

Latem na każdej ławce mogłoby usiąść po pięciu ludzi, ale teraz wszyscy byli grubo poubierani, ledwie czterech się mieściło, a i tak niewygodnie było donieść łyżkę.

Szuchow liczył, że przypadnie mu przynajmniej jedna z dwu podprowadzonych porcji, więc tym szybciej zabrał się do własnej. Prawe kolano podciągnął pod brzuch, zza cholewy walonka wy dostał łyżkę „Ust-Iżma, 1944”, zdjął czapkę, wcisnął ją pod lewą pachę, zgarnął łyżką kaszę z brzegów miski.

Nastąpiła chwila, którą należało poświęcić wyłącznie jedzeniu, zbierać łyżką cienką warstwę kaszy z dna miski, starannie podnosić do ust, w ustach rozcierać językiem. Ale trzeba było się spieszyć, żeby Pawło zauważył, że Szuchow już zjadł, żeby przydzielił mu drugą miskę. Tymczasem Fetiukow, który nadszedł razem z Estończykami, zauważył dodatkowe dwie miski kaszy, stanął naprzeciw Pawła i je na stojąco, co chwila spoglądając na cztery nie tknięte jeszcze miski brygady. Chce w ten sposób okazać Pawłowi, że i jemu coś by należało odpalić, jeśli nie całą porcję, to przynajmniej pół.

Ale smagły, młody Pawło spokojnie jadł swoją podwójną porcję, z jego twarzy w żaden sposób nie można było poznać, czy widzi, kto je koło niego, czy w ogóle pamięta, że są dwie nadliczbowe porcje.

Szuchow skończył. Nie najadł się jedną porcją, bo już z góry przygotował swój żołądek na dwie - choć normalnie talerz owsianki wystarczał. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, odwinął z białej ściereczki nie zamrażony półokrągły kawałek skórki z wierzchu bochenka, zaczął nim starannie wycierać resztki owsianki z dna i z rozłożystych boków miski. Kiedy na skórce nabierało się dość, zlizywał kaszę i znowu wycierał. W końcu miska

była czysta, jakby wymyta, może tylko trochę zmatowiała. Szuchow oddał miskę przez ramię zbierającemu i jeszcze chwilę siedział nie wkładając czapki.

Tamte dwie miski podprowadził wprawdzie Szuchow, ale rządzi nimi zastępca brygadzysty.

Pawło jeszcze trochę zwlekał, wreszcie zjadł swoją porcję, ale nie wycierał chlebem, łyżkę tylko oblizał, schował, przeżegnał się. Dopiero wtedy lekko popchnął dwie z czterech misek - nie było miejsca, żeby je przysunąć - w ten sposób jak gdyby oddając je Szuchowowi.

- Iwan Denisowicz, adnu sobi wizmity, a drugą oddaste Cezarowi.

Szuchow pamiętał, że jedną miskę trzeba zanieść Cezarowi do kancelarii. Cezar nigdy tak się nie zniżał, żeby samemu przychodzić do stołówki, ani tu, ani w łagrze. Szuchow pamiętał o tym, ale kiedy Pawło znienacka popchnął aż dwie miski, serce mu zamarło - czyżby Pawło oddawał mu obie nadliczbowe? Zamarło tylko na mgnienie i znów ruszyło normalnie.

Szuchow pochylił się nad należną mu zdobyczą i zaczął jeść rozważnie, nie czuł, jak poszturchiwały go w plecy nowe brygady. Bał się tylko, żeby drugiej kaszy nie dostał Fetiukow. Z Fetiukowa zawsze szakał wylezie, ale żeby samemu podprowadzić, na to nie starczyłoby mu odwagi.

Nie opodał siedział przy stole kapitan Bujnowski. Dawno już zjadł swoją kaszę, nie wiedział, że brygada ma dwie porcje nadliczbowe, nie patrzył, ile misek tam jeszcze zostało Pawłowi. Rozebrało go po prostu, rozgrzał się, nie miał siły wstać i iść na mróz, albo do ich wciąż zimnej hali. Tak samo jak ci, którym przed pięcioma minutami wymyślał swoim grzmiącym głosem, zajmował teraz miejsce, do którego nie miał już prawa, przeszkadzał nowo przybyłym brygadam. Od niedawna był w łagrze, od niedawna wychodził do pracy. Nie wiedział jeszcze o tym, ale takie chwile jak ta były dla niego nadzwyczaj ważne, z władczego, krzykliwego oficera marynarki przemieniały go w nieruchawego, rozważnego zeka, który tylko tę swoją nieruchawość może przeciwstawić dwudziestu pięciu latom więzienia, na które go skazano.

Krzyczeli już na niego, szturchali go w plecy, żeby zwolnił miejsce.

Pawło powiedział:

- Kapitanie! Hej, kapitanie!

Bujnowski drgnął, jakby go obudzono, spojrzął.

Pawło podał mu kaszę, nie zapytał nawet, czy chce.

Brwi Bujnowskiego uniosły się, patrzył na tę kaszę jak na чудо jakieś nadprzyrodzone.

- Bierity, bierity - uspokoił go Pawło, wziął ostatnią miskę dla brygadzisty i poszedł.

Zażenowany uśmiech rozchylił spękane wargi kapitana, który pływał wokół Europy i Wielkim Przejściem Północnym.

Szczęśliwy, pochylił się nad niepełną chochlą rzadkiej owsianej kaszy, nie kraszonej, ot tyle, że owies i woda.

Fetiukow popatrzył nienawistnie na Szuchowa, na kapitana i poszedł.

Zdaniem Szuchowa kapitan słusznie dostał kaszę. Przyjdzie czas, że kapitan też nauczy się żyć, ale na razie nie umie.

Szuchow miał jeszcze wątplą nadzieję, że może Cezar odda mu swoją kaszę. Ale chyba nie odda, bo paczki nie miał już dwa tygodnie.

Kiedy zjadł drugą miskę, tak samo wycierając dno i boki skórką i tak samo oblizując ją, to w końcu zjadł i skórkę. Potem wziął wystygłą kaszę Cezara i wyszedł.

- Do kancelarii! - odepchnął fagasa przy drzwiach, który nie chciał go przepuścić z miską.

Kancelaria była to chata z ociosanych bali, nie opodał wartowni. Z komina kantorka walił dym, teraz tak samo jak rankiem. Pali w piecu dyżurny, a zarazem goniec, zaliczają mu dniówkę za to. Drzazeg, obrzynków różnych, deszczulek dla kantorka nie żałują.

Skrzypnęły drzwi sionki, potem jeszcze jedno drzwi, obite wołłokiem, Szuchow wszedł do środka poprzedzany obfitymi kłębami pary, szybko domknął za sobą drzwi, szybko, jak najszybciej, żeby nie wrzasnęli:

„Ech, ty, łajza, zamykaj drzwi!”

Wydawało mu się, że w kantorku gorąco co najmniej jak w łaźni. Przez okna, na których stajał lód, wpadało wesołe słoneczko, inne, nie tamto złowrogie słońce, które świeciło na wzgórkach przy ciepłowni. Płynął w tym słońcu szeroki dym z fajki Cezara, niczym kadzidło w cerkwi. Cały piec świeci czerwienią, tak go jełopy rozhajcowali. Nawet rury rozżarzone czerwono.

W takim cieple wystarczy na chwilę przysiąść, od razu człowiek zaśnie.

Kancelaria ma dwa pokoje. Przez nie domknięte drzwi drugiego pokoju słychać bas kierownika budowy:

- Przekroczyliśmy limity budżetowe w płacach i w materiałach budowlanych. Najlepsze deski, nie mówiąc już o elementach domów, wasi więźniowie rąbią na opał i palą nimi w piecykach. Parę dni temu rozładowywali cement koło magazynu na silnym wietrze, do tego nosili go na nosilkach z dziesięć metrów, teraz cały plac przy magazynie jest po kostki w cemencie, ludzie odeszli nie w czarnych, tylko w szarych buszłatach. Jakież to straty!

Widocznie u kierownika jest zebranie. Pewnie odprawa dziesiętników.

W kącie, przy wejściu, siedzi na taborecie rozespany dyżurny. Obok Szkuropatienko, B-219, długi jak żerdź, jednooki, gapi się w okienko, nawet teraz pilnuje, żeby nie rozkradli tych jego domów. Ale papy nie upilnowałeś, draniu.

Dwaj buchalterzy, także więźniowie, podpiekają na piecu chleb. Ruszt zrobili sobie z drutu, żeby się chleb nie spalił.

Cezar pali fajkę, rozwalił się za swoim stołem. Siedzi plecami do drzwi, nie widzi Szuchowa.

A naprzeciwko Cezara siedzi X-123, z wyrokiem dwudziestoletnim, skazany na katorgę. Stary jest, żylasty. Je kaszę.

- Nie, ojczulku - jakoś tak miękko-łagodnie mówi Cezar. - Jeśli mamy być obiektywni, to musimy przyznać, że Eisenstein jest geniuszem. „Iwan Groźny” - no, czy to nie genialne? Taniec opryczników z owczym runem! Scena w soborze!

- Wydziwnione! - X-123

rozgniewał się, nie doniósł łyżki do ust. - Tyle w tym sztuki, że to już przestaje być sztuką. Pieprz i mak zamiast chleba powszedniego! A poza tym najbardziej obmierzły sens polityczny, usprawiedliwienie tyranii jedynowładztwa. To wyszydzanie świętej pamięci trzech pokoleń rosyjskiej inteligencji!

Je kaszę bez smaku, nie służy mu ta kasza.

- Inna interpretacja tematu nie miałyby szans!...

- Ach, nie miałyby szans?! No, to niech mi pan nie opowiada o geniuszu! Niech pan powie od razu, że to lizus, karierowicz, że sobacze zamówienie wykonał! Geniusz nie nagina się do gustu despotów!

- Hm, hmmm - odkaszlnął Szuchow. Nie miał odwagi przerwać tej uczonej rozmowy. A stać tak też nie miał po co.

Cezar odwrócił się, wyciągnął rękę po miskę, nawet nie spojrzał na Szuchowa, jakby ta kasza sama powietrzem przyleciała. I znowu:

- No, wie pan, sztuka to nie co, ale jak.

X-123 poderwał się i o stół kantem dłoni, o stół:

- O nie, do diabła z pańskim „jak”, jeśli nie budzi we mnie szlachetnych uczuć!

Szuchow powstał tyle akurat, ile wypadało postać, skoro już oddał kaszę. Czekał, no bo może Cezar go ugości papierosem. Ale Cezar już zapomniał o Szuchowie, nie pamięta nawet, że ktoś stoi za jego plecami.

Więc się Szuchow odwrócił i cicho wyszedł.

Można wytrzymać, nie za zimno na dworze. Jakoś da radę murować.

Szuchow poszedł ścieżynką i zobaczył na śniegu kawałek narzędziowej stali. Niby do niczego Szuchowowi niepotrzebny, ale przecież nie wiesz zawczasu, co ci się może przydać. Podniósł, włożył do kieszeni spodni. Trzeba będzie schować gdzieś na budowie ciepłowni. Lepiej być przezornym niż bogatym.

Przyszędł na budowę, przede wszystkim wyciągnął schowaną kielnię, zatknął ją za sznurek, którym się opasywał. Potem dał nura do hali.

Wszędł ze słońca i wydało mu się, że nie cieplej tam niż na dworze. Tylko jakby wilgotniej.

Cała brygada zgromadziła się przy okrągłym piecyku, który Szuchow postawił, a także przy tamtym, na którym grzeje się parujący piasek. Ci, dla których nie starczyło miejsca, przysiedli na krawędzi skrzyni do zaprawy. Brygadzista siedzi przy samym piecu, kończy jeść kaszę. Pawło odgrzał mu tę kaszę na piecyku.

Szu-szu-szu szemrzą ludzie. Weselsi jakby. Po cichu powiedzieli Iwanowi Denisowiczowi, że brygadziście udało się załatwić z normą. Przyszędł w dobrym humorze.

Jaką robotę zgłosił za wykonaną i gdzie - to już jego, brygadzisty, sprawa, jego w tym głowa. No bo co dzisiaj zrobili do południa? Nic. Ustawienia piecyka nie zaliczą, przecież dla siebie postawili, nie dla budowy. A w karcie robót coś trzeba napisać. Możliwe, że Cezar jakoś pomaga brygadziście z tymi kartami robót.

Brygadzista poważa Cezara przecież nie bez powodu.

„Dobrze załatwił z normą” to znaczy, że teraz dostaną przez pięć dni porządne racje. No, powiedzmy, że pięć jak pięć, ale przez cztery dni na pewno. Z tych pięciu dni jeden rekwiruje dla siebie naczalstwo, trzymając wtedy cały łagier na racji minimum, najlepszych i najgorszych bez różnicy. Niby nikt nie może mieć pretensji, wszyscy dostają tyle samo, a przecież oszczędzają na naszych brzuchach. No dobrze, powiedzmy, że żołądek zeka wytrzyma niejedno, dziś jakoś to będzie, jutro sobie podjemy. Z takim marzeniem w dniu minimum idzie spać cały łagier.

A jak się tak zastanowić, to pracujemy pięć dni, a jemy tylko cztery.

Brygada siedzi cicho. Kto ma co palić, ten pali potajemnie. Skupili się w mroku, patrzą w ogień, jak wielka rodzina. Bo brygada to w gruncie rzeczy tak jak rodzina. Słuchają, co brygadzista opowiada przy piecu dwóm czy trzem wybranym. Brygadzista nigdy słowa zbędnego nie uroni, jeśli zaczął opowieść, to znaczy, że wszystko mu dobrze poszło.

Andriej Prokoficz też nie nauczył się jeść w czapce. Kiedy zdejmie czapkę, to widać, że głowę ma już starą. Ostrzyżona krótko, jak głowy ich wszystkich, ale nawet przy blasku piecyka widać, ile siwizny w wyblakłych włosach brygadzisty.

- ...Ja się trząsałem nawet przed dowódcą batalionu, a tu nagle dowódca pułku! „Żołnierz Armii Czerwonej, Tiurin, melduje się na rozkaz...” Brwi miał takie krzaczaste, świdruje spod nich: „A na imię wam jak, a ojcu?”. To mówię. „Rok urodzenia?” Mówię. Wtedy, w trzydziestym, dwadzieścia dwa lata miałem, szczeniak zupełny. „No, jak wam służba idzie, Tiurin?” - „Służę ludowi pracującemu...” A on jak się nie zerwie wściekły i obydwoma dłońmi - łu-bu-du - w stół. „Ludowi pracującemu służysz, a ty sam kto, łajdaku?” Jakby mnie kto w środku wrzątkiem. Ale się trzymam: „Strzelec kaemista numer jeden. Wyróżniony za wyszkolenie bojowe i polity...” „Jaki z ciebie numer jeden, gadzie. Twój ojciec to kułak! Masz, papiery przysły z Kamienia! Ojciec twój to kułak, a ty się ukrywasz, już drugi rok cię szukają!” Zbladłem, milczę. Przez cały rok nie pisałem do domu, żeby nie doszli po śladach. Nic nie wiedziałem, czy tam moi jeszcze żyją, i w domu też nic o mnie nie wiedzieli. „Gdzieś ty miał sumienie - wrzeszczy, tylko mu się te cztery belki trzęsą - żeby robotniczo-chłopską władzę oszukiwać?!” Myślałem, że mi przyłoży. Ale nie uderzył. Tylko rozkaz podpisał - w ciągu sześciu godzin za bramę. To było w listopadzie. Umundurowanie zimowe zabrali, wydali letnie sorty, buty, które poborowi już trzy lata nosili, kusy szynel. Ja wtedy byłem pier...lony gówniarz, nie wiedziałem, że mogę nie oddawać umundurowania. Kazać się pocałować... I zaświadczenie dostałem takie:

„Zwolniony z szeregów... jako syn kułaka”. Tylko do personalnego z tym zaświadczeniem, po pracę. Pociągiem miałem do domu cztery doby, biletu kolejowego mi nie wypisali, prowiantu na drogę nie dali, ani nawet na jeden dzień. Dali obiad po raz ostatni i wygnali z koszar...

...Nawiasem mówiąc, w trzydziestym ósmym spotkałem na Kotłaskiej przejściówce swojego byłego dowódcę plutonu, też dostał dychę. I dowiedziałem się od niego, że obu, dowódcę pułku i komisarza, rozstrzelano w trzydziestym siódmym. Bez różnicy, proletariusz czy kułak, ma sumienie czy nie ma. Przeżegnałem się i powiadam: „A przecież jest Pan Bóg na niebie. Nierychliwy, ale sprawiedliwy”.

Po dwu miskach kaszy Szuchowowi chciało się palić wprost nie do wytrzymania. Powiedział półgłosem do Estończyka rybaka, licząc, że kiedy wieczorem kupi od Łotysza z siódmego baraku dwa kubki samosieja, to wtedy odda.

- Słuchaj, Ejno, pożycz no mi na jednego skręta do jutra. Ja cię przecież nie wykantuję.

Ejno spojrzął Szuchowowi prosto w oczy, potem niespiesznie popatrzył na swojego przybranego brata. - Wszystko zawsze dzielą po równo, jeden bez drugiego ani włókna tytoniu sam nie wypali. Coś tam między sobą pomruczeli i Ejno wyciągnął kapciuch haftowany różowymi nićmi. Wyjął z kapciucha szczyptę fabrycznie krojonego tytoniu, wysypał Szuchowowi na dłoń, sprawdził, czy dosyć, dołożył jeszcze kilka włókien. Akurat na jednego skręta, nie więcej.

Gazetę Szuchow ma przy sobie. Oderwał kawałek, skręcił, podniósł węgielek, który upadł do stóp brygadziście, zaciągnął się! Ach, jak się zaciągnął! Oszłomienie w całym ciele, niczym po kielichu, i w głowie, i w nogach.

Ledwie zapalił, a już przez całą halę zielone ślepie zabłyśły. Fetiukow. Można by się zlitować, dać mu, szakalowi, ale Szuchow widział, że Fetiukow już dzisiaj wyżebrał peta. Lepiej zostawić dla Sieńki Klewszina. Sieńka nie słyszy, o czym tam brygadzista opowiada, siedzi biedak zapatrzony w ogień, zwiesił głowę.

Dziobatą twarz brygadzisty rozświeca blask od piecyka. Brygadzista opowiada beznamiętnie, jakby nie o sobie:

- Co tam miałem własnego, sprzedałem handlarzowi za ćwierć ceny. Kupiłem na czarnym rynku dwa bochenki chleba, bo wtedy już były kartki. Zamyśliłem, że dojadę towarowymi, ale i co do tego prawa wyszły srogie: strzelać do tych, co się czepiają towarowych. Może kto pamięta, biletu wtedy za żadne pieniądze nie można było dostać, a co dopiero kiedy człowiek bez grosza. Wszystkie place dworcowe zasłane były chłopskimi tułupami. Tam zresztą na miejscu zdychali z głodu, zanim który wsiadł do pociągu. Bilety były wiadomo dla kogo - dla Gpu, wojska i na delegacje. Na peron też nie można było się dostać, w przejściu stała milicja, na całej stacji straż kolejowa chodzi przy torach. Zziębnięte słońce zachodzi, już nie grzeje - gdzież tu przenocować?...

Przelazłem przez mur, jakoś poszło, chociaż z bochenkami, i chodu do toalety na peronie.

Postałem tam sobie, patrzę, nikt mnie nie goni. Wychodzę. Niby że pasażer, żołnierz. A na torach stoi akurat ekspres Władywostok - Moskwa. Kupa ludzi wyskoczyła po wrzątek, biją się menażkami po głowach. Dziewczyna w błękitnej kurteczce biega z dwulitrowym czajnikiem, a do baku z wrzątkiem boi się podejść, ani rusz się nie dopcha. Nóżki takie ma drobniutkie, zdeptaliby ją albo poparzyli. „Masz, mówię, potrzyмай chleb, zaraz ci przyniosę wrzątku”. Ledwo nalałem, już pociąg ruszył. A ona trzyma moje bochenki, płacze, nie wie, co z nimi począć, imbryk to by już zostawiła, pal go sześc. „Biegnij, krzyczę, skacz, ja za tobą!” Najsamprzód ona, ja za nią. Dogoniłem ją, podszadam jedną ręką, a pociąg przyspiesza.

Wskoczyliśmy na stopnie. Konduktor mnie nie spychał, ani po palcach nie bił, jechali jacyś żołnierze w wagonie, wziął mnie za jednego z nich...

Szuchow szturchnął Sieńkę pod bok - masz, dopal, niedorajdo boża. Dał mu razem ze swoją drewnianą cygarniczką, niech sobie popali, nie szkodzi, co mu żałować. A Sieńka wygłupia się, jak artysta, rękę na sercu położył, głowę schylił. Czego się spodziewać po głuchym!...

Brygadzysta opowiada:

- Sześć dziewcząt jechało w przedziale, leningradzkie studentki wracały z praktyki. Na stoliku miały różne perfumy, pierdumy, paltociki na wieszakach dyndają, walizeczki w pokrowcach. Jadą sobie, życia nie znają, semafony dla nich zielone. Pogadaliśmy, pożartowaliśmy, herbatkiśmy się napili. W końcu pytają: „A wy z którego wagonu?” Westchnąłem i szczerze im mówię: „Ja z takiego wagonu, dziewczuszki, że wam żyć, a mnie umierać...”

Cisza w hali. Piecyk się jarzy.

- Wzdychały i ach, i och, i naradzały się. W końcu przykryły mnie płaszczami na górnej leżance. Wtedy konduktorzy chodzili razem z Gpu. Nie o bilet szło - tylko o własną skórę. Do Nowosybirsk w tym ukryciu dojechałem... Nawiasem mówiąc, jedną z tych dziewczuszek spotkałem potem na Pieczorze, odwdzięczyłem się. Usiadła w trzydziestym piątym, jak wsadzali w związku z Kirowem. Wykańczała się na robocie, urządziłem ją w warsztatach krawieckich.

- Może by zaprawę rozrobić? - szeptem pyta Pawło.

Brygadzysta nie słyszy.

- Do domu przyszedłem nocą, przez ogrody. Ojca już zabrali, matka z młodszymi dziećmi czekała na etap. W mojej sprawie przyszedł już telegram i ci z rady wiejskiej szukali mnie, żeby posadzić. Trzęsiemy się, zgasiliśmy światło, siedzimy pod ścianą na podłodze, bo aktywiści chodzili po wsi, w okna zaglądali i tej samej nocy odszedłem. Małego braciszka zabrałem i w ciepłe kraje zawiozłem, do Frunzji. Karmić nie miałem czym ani jego, ani siebie. We Frunzji asfalt w kotle gotowali, mała żulia kocioł obsiadała. Podszedłem. Przysiadłem się. „Słuchajcie, panowie gołodupcy! Weźcie mojego braciszka do siebie na naukę, nauczcie go, jak żyć!” Wzięli... Żałuję, że sam do nich nie przystąpiłem...

- Nigdyście już potem brata nie spotkali? - zapytał kapitan Tiurin ziewnął.

- Nie, nie spotkałem nigdy - Znowu ziewnął. Powiada: - No, nie martwcie się, chłopaki! Zagospodarujemy się i na ciepłowni. Który tam ma mieszać zaprawę, to niech zaczyna, nie ma co czekać na gwizdek.

To właśnie jest brygada. Kierownik nie ruszy człowieka z miejsca nawet w godzinach pracy, a brygadzista powie: pracować, to będą pracować, choćby była przerwa. Bo brygadzista karmi. I po próżnicy zmuszać nie będzie.

Gdyby zaczęli mieszać zaprawę dopiero, jak syrena zawyje, to co, murarze mają siedzieć i czekać?

Szuchow westchnął. Wstał.

- Trzeba iść, lód obrąbać.

Wziął siekierę do lodu i miotłkę, i narzędzia murarskie - młotek, listwę, sznur i pion.

Rumiany Kildigs spojrzął na Szuchowa, skrzywił się - po co Szuchow pierwszy się wrywa? Kildigs się nie martwi, jak brygadę przeżywić, jemu, łysoniowi, nie zrobi różnicy, choćby nawet dostał o dwieście gramów chleba mniej, na samych paczkach wyżyje.

A przecież wstaje, rozumie, że nie może zatrzymywać całej brygady.

- Czekaj, Wania, ja też idę! - woła za Szuchowem.

Dobra, dobra, grubasie. Gdybyś dla siebie robił, tobyś się jeszcze wcześniej zerwał.

(Szuchow pośpieszył się także i dlatego, żeby Kildigs nie zdążył wziąć pionu, bo narzędziownia wydała tylko jeden.)

Pawło zapytał brygadzistę:

- Utriech majut kłast? Szcze odnowo ne postawymo? Abo rastwora ne wystacze?

Brygadzista zmarszczył brwi, myśli.

- Sam stanę jako czwarty, Pawło. A ty zostań tu, przy zaprawie. Weź sześciu ludzi, skrzynia jest duża, niech z jednej połowy wybierają gotową zaprawę, a w drugiej niech od razu rozrabiają nową i żeby mi nie było ani minuty przestoju!

- Ech! - skoczył Pawło.

Chłopak młody, odkarmiony na ukraińskich blinach, krew z mlekiem, jeszcze mu łągier zdrowia nie odebrał. - Jak wy sami kłast, tak ja sam rastwor robyt! A podywymoś kto bilsz narobie! A die tu tu najdlinnisza łopata?

To właśnie jest brygada. Pawło strzelał po leśnych traktach, na miasta rejonowe napadał nocą, gdzie by mu się tam chciało żyły z siebie wypruć. A dla brygadzisty, to co innego!

Szuchow i Kildigs weszli na górę, słyszą, że Sieńka także skrzypi po sztagach. Domyślił się, głuchy.

Na pierwszym piętrze ściany ledwo zaczęte, dookoła na trzy cegły w górę, tylko gdzieniegdzie wyżej. Tak się muruje najporęczniejszy, bez rusztowań, póki mur od kolan do piersi.

Wszystko, co tu było, rusztowania i kozły, więźniowie porozkradali, trochę na inne budowy, trochę na opał, byleby dla obcej brygady nic nie zostało. Jeśli myśleć po gospodarsku, trzeba będzie już jutro pozbijać kozły, bo inaczej robota stanie.

Z góry widok rozległy - dokoła zona w śniegu, bezludna, pochowali się zeki, grzeją się, zaraz zawyje syrena - czarne wieżyczki, spiczasto zaciosane słupy pod drut kolczasty. Jak patrzeć ze słońcem, to widać drut kolczasty na słupach, pod słońce - nie widać. Słońce oślepia, oczu nie można otworzyć.

Widać też opodal pociąg-elektrownię. Ależ dymi, kopci w niebo! Nagle ciężko zasapał. Zawsze tak chrypi jak w chorobie, zanim zagwizdże. Zagwizdał. Ot, i niewiele zarwali z przerwy.

- Ej, stachanowiec! Nie guzdraj się z tym pionem - poganiał Kildigs.

- Lepiej sam popatrz, ile masz lodu na murze! Żebyś go do wieczora zdążył obrąbać! Niepotrzebnie kielnię przydzwigales na górę! - szydzi Szuchow.

Chcieli stanąć przy swoich ścianach, tak jak było umówione przed obiadem, ale brygadzysta z dołu krzyczy:

- Ej, chłopcy! Musimy stanąć po dwu, żeby zaprawa w skrzyniach nie zamarzła. Szuchow! Weź Klewszina na swoją ścianę, a ja będę robił z Kildigsem. A tymczasem Hopczyk oczyści za mnie ścianę Kildigsa z lodu.

Szuchow i Kildigs popatrzyli na siebie. Słusznie. Tak lepiej.

Chwycili za siekierki.

Szuchow nie widział już ani dalekiego stepu, na którym słońce rozjarzało śnieg, ani ludzi, co wyszli na zonę z ogrzewanych pomieszczeń. Jedni szli dłubać dołki, których nie wydłubali przed obiadem, inni mocować zbrojenia, inni - stawiać krokwie nad warsztatami.

Widział tylko swoją ścianę – od lewego winkła, gdzie mur wznosił się aż do pasa, do prawego rogu - tam gdzie jego ściana stykała się ze ścianą Kildigsa. Pokazał Sieńce, skąd trzeba odkuć lód, sam rąbał zaciekle, to ostrzem, to obuchem, odpryski lodu strzelały wokół, nawet w twarz, pracował szybko, ale nie myślał o tym, co robi. Myślą i oczyma wydobywał spod lodu ścianę, fasadę ciepłowni, kładzioną na dwa pustaki. Nie wiedział, kto tu murował przed nim, nie wiedział, czy tamten nie umiał, czy robił byle zbyć. Teraz Szuchow oswajał się z tą swoją ścianą. Tutaj poziom usiadł, za jednym razem nie da rady wyrównać, trzeba będzie przez trzy rzędy nakładać grubiej zaprawę. Tu mur wybrzuszył się na zewnątrz - to się

naprawi przez dwa rzędy. Szuchow przedzielił ścianę niewidzialną granicą - dotąd sam będzie murował aż do lewego węgła, a Sieńka odtąd w prawo, do Kildigsa. Szuchow liczył, że Kildigs nie wytrzyma, wymuruje za Sieńkę nieco, Sieńce będzie łatwiej. A dopóki oni się będą grzebać z winklem, Szuchow podgoni tutaj z pół ściany, żeby nasza para nie zostawała w tyle. Przyuważył też sobie, gdzie mu powinni kłaść pustaki. Jak tylko podręczni przynieśli je na górę, od razu przygadał sobie Aloszkę:

- Noś dla mnie. Tutaj kładź! I tu!

Sieńka kończył obrąbywać lód, Szuchow chwycił miotełkę ze stalowych drutów, chwycił oburącz i raz-raz, raz-raz zaczął omiatać ścianę, górną warstwę żuźlowych pustaków, nie do czysta wprawdzie, ale do lekkiej lodowej mgiełki, szczególnie starannie wymiatał na spojeniach.

Brygadzysta wszedł na górę i póki Szuchow marudził z miotłą, przybił na winklu listwę. U Szuchowa i u Kildigsa listwy już od dawna sterczą na rogach.

- Hej! - Pawło krzyczy z dołu - Czi tam je żywa ludyna nawersi? Trymajcie rastwor!

Szuchowa aż zatkało - przecież sznur jeszcze nie naciągnięty! Rzucił się na listwy.

Postanowił, że będzie naciągał sznur nie na jeden rząd i nie na dwa, ale na trzy od razu. Żeby Sieńce było łatwiej, Szuchow zdecydował, że przejmie od niego kawałek zewnętrznej warstwy muru, a podrzuci Sieńce za to trochę wewnętrznego.

Przeciągając sznur od górnego nacięcia listwy objaśniał Sieńce i na głos, i gestami, gdzie ma murować. Głuchy zrozumiał. Przygryzł wargę, zezuje, pokazuje głową ścianę brygadzysty - no co, damy im popalić? Nie będziemy gorsi! Śmieje się.

Już po sztagach wnoszą zaprawę. Zaprawę będzie nosiło ośmiu. Brygadzysta zdecydował, że nie będą stawiali murarzem żadnych tam skrzynek na zaprawę, bo zaprawa szybciej zamarznie, jeśli ją przelewać. Więc mają po prostu stawiać nosiłki, jedno na dwóch murarzy, nabierać się będzie kielnią, wprost z nosiłek. A podręczni, żeby nie stali po próżnicy na mrozie, mają układać pustaki na murze. Jak murarze wyrobią całe nosiłki, to od razu podstawiają drugie z dołu, tamte zabierają. Na dole przy piecyku skrzynie nosiłek trochę odmarzną, ci co noszą też, ile tam zdążą.

Przynieśli dwie nosiłki naraz, na ścianę Szuchowa i dla Kildigsa. Zaprawa paruje na mrozie, dymi, a ciepła z niej ledwie-ledwie. Chlapiesz kielnię zaprawy na mur, zagapisz się odrobinę, a już ją ścięło. Wtedy trzeba odkuwać młotkiem, kielnią nie da rady. Położysz pustak nie tak jak należy, trochę krzywo - już nie poprawisz, przymarza. Trzeba odbijać pustak obuchem siekierki, odkuwać zaprawę.

Ale Szuchow się nie myli. Nie wszystkie pustaki są jednakowe. Ten ma odpeknięty róg, z tamtego żużel sterczy albo żeberko nierówne. Szuchow wszystko to widzi od razu, widzi, którą stroną ten pustak chciałby leżeć, widzi też miejsce na murze, które czeka na ten właśnie pustak.

Nabiera na kielnię dymiącej zaprawy, zrzuca na to miejsce, zapamiętuje, gdzie było spojenie - bo pustak trzeba kłaść tak, żeby to spojenie wypadło mu pośrodku. Zaprawy narzuca tyle tylko, ile pod jeden pustak. Ostrożnie, żeby nie rozerwać rękawicy, bo pustaki z żelbetonu kaleczą boleśnie ręce, chwyta z kupki upatrzony pustak. Wyrówna jeszcze zaprawę kielnią i chlup na to pustak. Od razu go podrówna, podbija kantem kielni, jeśli trzeba, tak żeby zewnętrzna warstwa ściany szła do pionu, żeby cegła wzdłuż trzymała poziom i w poprzek. A pustak już przymarzył, już trzyma.

Jeśli spod pustaka wylewa się nieco zaprawy, trzeba ją co rychlej odbić kantem kielni, zrzucić na ziemię - latem zbiera się ją pod następną cegłą, ale teraz ani o tym marzyć - trzeba jeszcze raz sprawdzić spojenie pod pustakiem, bo zdarza się, że leży tam nie cała cegła, ale złożona z połówek, dorzucić jeszcze zaprawy, z lewej strony trochę więcej, tak żeby pustak nie od razu kłaść równo, ale dogniatać do poziomu z prawej w lewo, wtedy pustak sam wycisnie nadmiar zaprawy pomiędzy siebie a pustak sąsiadujący od lewej. Jeszcze spojrzeć, czy trzyma pion. Spojrzeć, czy trzyma poziom. Związało. Następny!

Robota ruszyła. Byle dwa rzędy położyć, wyrównać stare niedokładności, dalej już gładko pójdzie. A tymczasem trzeba uważać.

I muruje, muruje zewnętrzny szereg pustaków na spotkanie Sieńce. Sieńka od winkła też się odsadził od brygadzysty, też się zbliża.

Szuchow machnął na podręcznych: zaprawę dawajcie, zaprawę tu bliżej, pod rękę, a żywo. Tak ruszyła robota, że nie ma kiedy wytrzeć nosa.

Kiedy się zeszli z Sieńką i zaczęli obaj nabierać z tej samej nosiłki, zaraz kielnia zaskrobała o dno.

- Zaprawa! - wrzeszczy Szuchow zza muru.

- Da-je-mo! - krzyczy Pawło.

Przynieśli nosiłki. Wyrobili zaprawę i z nich, ile jej tam było rzadkiej, a gęstsza przymarzła do ścianek skrzyni. Narasta coraz grubiej, jak liszaj. Sami będziecie to dźwigać do góry i na dół. Zjeżdżać! Następny!

Mróz przestał dokuczać Szuchowowi i innym murarzom.

Wciągnęła ich szybko robota. Szuchow poczuł najpierw lekki gorąc, pierwszy, ten gorąc, od którego pod buszłatem, pod waciakiem i pod obydwoma koszulami człowiek

zaczyna się pocić. Ale nie przerywali pracy ani na chwilę, podciągali mur coraz wyżej. W godzinę później ogarnął ich drugi gorąc, ten, od którego pot wysycha.

Najważniejsze, że nie marzli w nogi, reszta nieważna, lekki zawiewający wiaterek nie mógł odciągnąć ich uwagi od murowania. Tylko Klewszin postukiwał nogą o nogę, nosi nieszczęśnik czterdziesty szósty numer, walonki dostał nie od pary, przyciasne.

Brygadzysta krzyknie niekiedy:

„Zaprawa!” Niekiedy Szuchow:

„Zaprawa!” Ten, kto ostro ciągnie robotę, staje się dla innych też jakby brygadzystą. Szuchow nie chce zostać w tyle za tamtymi dwoma, teraz by rodzzonego brata po sztagach na śmierć zagonił.

Najpierw, zaraz po obiedzie, Bujnowski nosił zaprawę w parze z Fetiukowem. Sztagi strome, noga łatwo może się omsknąć, z początku nie bardzo dawał radę.

Szuchow go z lekka przynaglał:

- Szybciej, kapitanie!

Kapitanie, pustaków!

Kapitan z każdą nową nosilką był coraz roztropniejszy, a Fetiukow coraz leniwszy, idzie, świński cycek, przechyla nosilki, zaprawę wylewa, żeby było lżej nieść.

Szuchow zaprawił go w ucho rraz:

- Uch, ty psi pomocie! Jak byłeś dyrektorem, to robotników umiałeś ganiać, co?!

- Brygadzisto! - krzyczy kapitan. - Daj jakiegoś człowieka! Nie będę pracował z tym gównem!

Brygadzysta kazał Fetiukowowi przerzucać pustaki z dołu na rusztowanie, a tak go ustawił, żeby można było policzyć, ile pustaków przetrzuci. A kapitanowi przydzielił Aloszkę. Aloszka to człowiek spokojny, nie wysługuje się nim tylko ten, kto nie ma na to ochoty.

- Alarm na pokładzie! - tłumaczy mu kapitan. - Widzisz, jak szybko murują?

Aloszka uśmiecha się zgodnie:

- Jeśli trzeba szybciej, to możemy szybciej. Jak każecie.

Poczłapali na dół.

Człowiek pokorny to skarb dla brygady.

Brygadzysta krzyczy do kogoś na dole. Okazało się, że podjechała jeszcze jedna ciężarówka z pustakami. Najpierw to przez pół roku nie było ani jednej, a teraz - jakby się worek z nimi rozwiązał. Dopóty roboty, dopóki wożą pustaki. Dziś pierwszy dzień. Potem będą przestoje, nie rozpędzisz się.

Jeszcze coś tam krzyczy brygadzysta na dół, wymyśla. Coś o dźwigu. Szuchow chciałby posłuchać, ale nie ma kiedy, podrównuje ścianę. Nadeszli podręczni, opowiedzieli, że przyszedł mechanik, żeby naprawić motor dźwigu, a z mechanikiem kierownik elektryków, wolny. Mechanik grzebie się w motorze, kierownik dogląda.

Tak jak się należy - jeden robi, drugi patrzy.

Gdyby naprawili teraz dźwig, to można by i pustaki nim podawać, i zaprawę.

Szuchow skończył trzeci rząd (Kildigs też już zaczął trzeci) - a tu po sztagach włązi jeszcze jeden nadzorca, jeszcze jeden naczelnik, Der, dziesiętnik budowlanych. Z Moskwy. Podobno pracował w ministerstwie.

Szuchow stał blisko Kildigsa, pokazał mu Dera.

- Eee! - machnął ręką Kildigs.

- Ja tam z kierownikami nie mam przyjemności! Ale gdyby spadł ze sztagów, to mnie zawołaj.

Der stanie teraz za plecami murarzy i będzie się przyglądał. Szuchow nie znosi takich obserwatorów. Inżyniera udaje, świńskie ryło! A jak kiedyś pokazywał, jak kłaść cegłę, to się Szuchow po prostu obśmiał. U nas mówią, że wtedy będziesz inżynierem, kiedy choć jeden dom wybudujesz sam, własnymi rękami.

W Tiemgieniowie murowanych domów nie znano, wszystkie chałupy były z drewna. Nawet szkoła z ciosanych bali, z rezerwatu zwozili na nią bierwiona długie na sześć sążni. A jak w łagrze potrzebni byli murarze, proszę bardzo. Szuchow może być murarzem. Kto ma w ręku fach albo dwa, ten jeszcze i dziesięciu się wyuczy.

Nie, Der nie spadł, raz tylko się potknął. Wbiegł na górę prawie pędem.

- Tiu-rin! - drze się, aż mu oczy na wierzch wyłażą. - Tiurin!

Pawło zaraz za nim wbiega po sztagach, jak stał, z łopatą.

Der ma buszlat łagrowy, ale nowiutki, czyściutki. Czapa wspaniała, skórzana. Ale numer na niej naszyty, jak u wszystkich: B-#731.

- Czego? - Tiurin idzie do niego z kielnią. Czapka mu zjechała na bakier, na jedno oko.

Coś niebywałego. Przegapić tego nie można, ale zaprawa stygnie. Szuchow muruje, muruje i słucha.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyczy Der, zapluwa się. - To już nie karczerem pachnie! To kryminalna sprawa, Tiurin! Trzeci wyrok zarobisz!

Teraz dopiero olśniło Szuchowa, zrozumiał, o co chodzi. Spojrzał na Kildigsa - tamten też już rozumiał. Papa! Zobaczył papę na oknach.

O siebie Szuchow wcale się nie boi, wie, że brygadzysta go nie sprzeda. Boi się o Tiurina. Dla nas brygadzysta to ojciec, ale dla nich pionek. Za taką rzecz na Północy brygadziście drugi wyrok wlepiali jak nic.

Uuuch, jak wykrzywiło brygadziście twarz! Jak rąbnie kielnią pod nogi! I do Dera! Der się obejrzał - Pawło zamachnął się łopata na odlew.

Łopata! Nie na próżno łopatę wziął ze sobą...

I Sieńka, nie szkodzi, że głuchy, pojał, w czym rzecz. Podparł się pod boki i też idzie. A chłopisko silne.

Der zamrugał, zaniepokoił się, patrzy, jakby wleźć w mysią dziurę.

Brygadzysta nachylił się do Dera i po cichu, ale wyraźnie, tak że wszyscy na górze słyszeli:

- Skończyły się wasze czasy, zarazy, i wasze wyroki! Jeżeli choć słowo piśniesz, pijawko, to będzie twój ostatni dzień, pamiętaj.

Aż trzęsie brygadzystę. Tak trzęsie, że w żaden sposób nie może się uspokoić.

A Pawło twarz ma ściągniętą, zawziętą, po prostu przewierca oczyma Dera, po prostu przewierca.

- Co też wy, co też wy, chłopcy! - Der pobladł i jak najdalej od sztag.

Brygadzysta nic więcej nie powiedział, poprawił czapkę, podniósł wygiętą kielnię i wrócił do swojej ściany.

Pawło ze swoją łopata powoli schodzi na dół.

Powoli. Powolutku...

Ta-ak... Oto i ona, krew tamtych zaciukanych... Trzech zabito, a łagier nie do poznania.

Stoi Der, strach zostać i strach schodzić. Schował się za Kildigsa, stoi.

A Kildigs muruje. Tak w aptece ważą lekarstwa. Kildigs, wygląd ma doktorski, nie spieszy się. Do Dera cały czas odwrócony jest plecami, jakby go nie widział.

Podsunał się Der do brygadzysty. Gdzież się podziała cała jego buta?

- Co ja kierownikowi powiem, Tiurin?

Brygadzysta muruje, nie odwraca głowy:

- A powiecie, tak było.

Jakeśmy przyszli, to tak było.

Der postął jeszcze. Zrozumiał, że zabijać go teraz nie będą. Przeszedł się wolniutko wzdłuż ściany, ręce wsadził do kieszeni.

- Ty, Sz-osiemset pięćdziesiąt cztery - burczy. - Czemu zaprawę kładziesz tak cienko?

Na kimś trzeba się odegrać. U Szuchowa nie można się przyczepić ani do spojeń, ani do pionu, więc mu zaprawa za cienka.

- Pozwólcie zauważyć - zaseplenił szyderczo - że jeśli teraz kłaść grubszą zaprawę, to wiosną ta cała ciepłownia się rozpułynie.

- Tyś murarz i masz słuchać, co ci mówi dziesiętnik. - Der się nachmurzył, odął policzki, ma takie przyzwyczajenie.

No, możliwe, że gdzieniegdzie rzeczywiście trochę za cienko, można by grubiej, ale to wtedy, gdyby się murowało po ludzku, a nie w zimie. Trzeba mieć litość nad ludźmi. Norma jest potrzebna. Ale co tu tłumaczyć, jak człowiek sam nie rozumie.

Powoli zszedł Der po sztagach.

- Dźwig mi zreperujcie! - krzyczy za nim brygadzysta ze ściany. Cośmy to, wielbłądy?! Na pierwsze piętro pustaki w rękę mamy nosić?!

- Płacą ci za ręczny transport! - Der ze sztag, ale grzecznie.

- Na taczkach?! Ano weźcie taczkę i wepchnijcie ją na górę. Płać za transport na nosilkach!

- Czy ja ci żałuję, czy co? Na nosilkach buchalteria nie uzna.

- Buchalteria! Cała brygada u mnie pracuje, żeby obsłużyć czterech murarzy. Ile ja w ten sposób zarobię?

Brygadzysta krzyczy, ale muruje bez przerwy.

- Zaprawa! - krzyczy na dół.

- Zaprawa! - powtarza Szuchow.

Wszystko wyrównali przy trzecim rzędzie, przy czwartym dopiero się rozpędzą. Sznur by warto przeciągnąć o rządę wyżej, ale poradzi się i tak, jeden rząd przeleci bez sznura.

Poszedł sobie Der polem, nastroszony. Do kancelarii poszedł, grzać się. Pewnie, że mu nijako. Trzeba dobrze pomyśleć, nim się ruszy na takiego wilka jak Tiurin. Z takimi brygadzystami lepiej się dogadać, wtedy by nie miał żadnych kłopotów - harować nie musi, chleba dużo, mieszka w wydzielonej kabinie - czego mu jeszcze trzeba? Ale zadziera nosa, mądrzy się.

Przyszli z dołu, mówią, że kierownik elektryków już poszedł i mechanik też, nie da się zreperować motoru.

A więc dalej tyraj jak wół!

Gdzie to już Szuchow nie pracował, ileż to widział różnych mechanizmów, maszyn - cała ta technika albo sama się psuje, albo zeki ją zamieniają w szmelc. Transportery do

drzewa tak załatwiali - wstawiali łom w łańcuch i przyciskali, żeby odpocząć. Bo kiedy rzucasz bal za balem, tak jak każą, to nie ma kiedy pleców rozprostować.

- Pustaki! Dawać pustaki! - krzyczy brygadzysta, rozpędził się. Podręcznych i tych, co noszą zaprawę, w mać ich taką, i w mać.

- Pawło pyta, jak tam z zaprawą - wołają z dołu.

- Mieszajcie!

- Pół skrzyni namieszane!

- No to jeszcze jedną skrzynię!

Robota wre. Zaczęli piąty rząd. Dopiero pierwszy murowali pochyleni, a teraz, patrzcie, już na wysokości piersi. Jasne, że szybko idzie, kiedy ani okien, ani drzwi tu nie ma, dwie ślepe ściany od winkla i pod dostatkim pustaków. Sznur by warto podnieść, ale już późno.

- Osiemdziesiąta druga poszła już zdawać narzędzia - melduje Hopczyk.

Brygadzysta tylko spojrzął na niego spod oka.

- Pilnuj swego nosa, smarkaczu! Podaj cegłę!

Szuchow obejrzał się. Tak, słońeczko już na zachodzie. Zachodzi w czerwieni, jakby w mgiełkę siwiutką. A rozpędzili się oni aż miło. Teraz zaczęli piąty, to trzeba ten piąty skończyć. Równno podciągnąć.

Podręczni - jak zmydlone konie. Kapitan aż poszarzał. Kapitan ma przecież jeśli nie czterdzieści lat, to coś koło tego.

Mróz nabiera mocy. Ręce pracują, a jednak palce kostnieją w cienkich rękawicach. Do lewego walonka też zimno włazi. Tup-tup Szuchow lewą nogą, tup-tup.

Teraz już nie trzeba się schylać nad murem, ale po każdy pustak, przy każdym zaczerpnięciu zaprawy.

- Chłopcy! Chłopcy! - ponagla Szuchow. - Podawajcie mi pustaki na ścianę! Kładźcie tu, na murze!

Kapitan rad by, ale nie ma siły. Nienawykły. Za to Aloszka:

- Dobrze, Iwan Denisycz.

Pokażcie, gdzie układać.

Aloszka nie odmówi, obojętne o co go poprosić. Żeby wszyscy na świecie byli tacy, to i Szuchow by tak. Jeżeli człowiek prosi, to jakże mu nie pomóc. W tym baptyści mają słuszość.

W całej zonie i na budowie ciepłowni usłyszano wyraźnie - dzwonią w szynę. Fajrant! A tu jeszcze tyle zaprawy. Ech, zanadtośmy się postarali!...

- Dawać zaprawę! Dawać zaprawę! - krzyczy brygadzysta.

A tam dopiero co zarobili całą skrzynię. Teraz nie ma rady, trzeba murować, jeśli nie wyrobią wszystkiego, jutro cała skrzynia będzie psu na budę, zaprawa zakrzepnie, nawet kilofem jej ze skrzyni nie wykujesz.

- No, nie lenić się, braciszku! - podjudza Szuchow. Kildigs zły. Nie lubi takich numerów. Ale i on pośpiesza, co robić?

Z dołu przybiegł Pawło, przydźwigał nosiłki, w ręku ma kielnię. Stał i on. Murują w pięć kielni.

Teraz - byle nadażyć na stykach. Szuchow zawczasu odmierza na oko, jaka cegła będzie mu na styk potrzebna, podsuwa Aloszce młotek.

- Masz, obtłucz mi ją!

Co nagle, to po diable. Teraz, kiedy wszyscy poszli na tempo, Szuchow już się nie śpieszy, tylko pilnuje ściany. Sieńkę przestawił na lewo, sam robi z prawej, od głównego węgła. Jeśli teraz wybruszą ścianę, albo na winkle stracą pion, to przepadło, jutro będzie roboty na pół dnia.

- Czekaj! - odsunął Pawła od cegły, poprawił po nim. Popatrzył stąd po winkle - coś jakby się wybruszało u Sieńki. Skoczył do Sieńki, poprawił dwiema cegłami.

Kapitan przytaszczył nosiłki niczym perszeron.

- Jeszcze - woła - dwie nosiłki!

Kapitan już wali się z nóg, ale ciągnie. Szuchow miał kiedyś takiego mierzyna, zanim jeszcze kołchozy nastały. Chodził koło niego, ale potem w obcych rękach mierzyn się szybko ochwacił, ściągnięto z niego skórę.

Już i górny skraj słońca schował się pod ziemię. Teraz nawet bez Hopczyka widać - nie tylko wszystkie brygady zdały narzędzia, ale ludzie hurmem ruszyli do bramy. Nikt nie wychodzi zaraz po tym, jak odgwizdzą; nie ma głupich, żeby tam stali i marzli. Wszyscy siedzą, grzeją się, gdzie mogą. Ale przychodzi taki moment, że zmówią się brygadziści i wszystkie brygady naraz wychodzą. Gdyby się nie zmówili, to zeki siedzieliby przy piecykach choćby do północy, kto dłużej wysiedzi, taki to zacięty jest ten aresztancki naród.

Opamiętał się Tiurin, widzi, że już późno. Magazynier narzędziowni już go na pewno klnie w żywy kamień.

- Ech - krzyczy - nie ma co gówna żałować! Podręczni! Walcie na dół, wybierzcie ze skrzyni, co tam zostało, wrzucie do dołu i przywalcie śniegiem, żeby nie było widać! A ty, Pawło, weź dwóch ludzi, zbierzcie narzędzia i leć zdawać! Trzy kielnie potem ci doślę przez Hopczyka, jak tylko te ostatnie nosiłki wyrobimy.

Poderwało ich. Zabrali młotek Szuchowa, odwiązali sznur. Wszyscy i podręczni, i ci, co nosili zaprawę - pognali na dół, tu już nie mają nic do roboty. Na górze zostało tylko trzech murarzy - Kildigs, Klewszin i Szuchow. Brygadzista chodzi, ogląda, ile wymurowali. Zadowolony.

- Sporośmy zrobili, co? Przez pół dnia. Bez dźwigu, pies z nim.

Szuchow widzi, że Kildigsowi już niewiele zostało w korycie. Martwi się, żeby w narzędziowni nie objechali brygadzisty za te kielnie.

- Słuchajcie, chłopaki - wykombinował Szuchow. - Oddawajcie kielnie Hopczykowi, moja nie policzona, zdawać jej nie muszę, to nią domuruję.

Brygadzista się śmieje:

- Jakże tu ciebie wypuścić na wolność? Więzienie się za tobą zapłacze.

Szuchow też się śmieje.

Muruje.

Kildigs zebrał kielnie. Sieńka Klewszin podstawia pustaki, zaprawę Kildigsowa przelali do jednego koryta.

Hopczyk pobiegł przez pole w stronę narzędziowni, za Pawłem. Sto czwarta też ruszyła przez pole, bez brygadzisty.

Brygadzista mocny, ale konwój jeszcze mocniejszy. Spiszą spóźnionych i karcer.

Przy bramie tłum. Wszyscy już są. Zdaje się, że konwojenci także już wyszli, przeliczają.

Przy wyjściu liczą dwa razy, raz przy zamkniętej bramie, żeby sprawdzić, czy można ją otworzyć, drugi raz liczą przepuszczając przez otwartą bramę. A jeżeli wyda im się, że coś jest nie w porządku, to jeszcze raz przeliczają za bramą.

- Kij mu w oko z tą zaprawą! - macha ręką brygadzista. - Wywal ją za ścianę!

- Idź, brygadzisto! Idź, tam jesteś potrzebniejszy! - Szuchow zwykle zwraca się do brygadzisty „Andriej Prokofiewicz”, ale teraz przez swoją pracę stał się mu równy. Nie pomyślał tego tak:

„Ot, zrównałem się z nim”, po prostu czuje, że tak właśnie jest.

Brygadzista zamaszystym krokiem schodzi po sztagach.

Szuchow żartuje:

- Co, do cholery, ten dzień taki krótki?! Ledwie się weźmiesz za robotę i już fajrant!

Zostali we dwóch z głuchym. Wiele się z nim nie nagadasz, zresztą po co. Klewszin mądrzejszy od wszystkich, bez słowa zrozumie.

Chlap - zaprawa! Klap - pustak! Przycisnęli. Sprawdzili. Zaprawa. Pustak. Zaprawa.

Pustak...

Zdawałoby się, sam brygadzysta kazał nie żałować zaprawy, wylać ją za ścianę. Ale Szuchow już taki jest, może i głupi, ale nie może patrzeć, jak idzie na marne czyjaś praca albo jakaś rzecz, osiem lat łagrów nie oduczyło go tego.

Zaprawa! Pustak! Zaprawa!

Pustak!

- Skończone, mać twoją za nogę! - krzyczy Sieńka. - Hajda!

Złapał nosiłki i na dół.

A Szuchow - choćby go tam miał konwój psami zaszczyć - odbiegł parę kroków i popatrzył. Nieźle. Podszedł bliżej, sprawdził mur w lewo, w prawo. Ech, oko - wasserwaga! Równiutko! Ręka jeszcze się nie starzeje.

Zbiegł po sztagach.

Sieńka wypadł z hali i biegiem ze wzgórką.

- Prędejj! Prędejj! - ogląda się.

- Biegnij, ja dogonię! - machnął mu Szuchow.

Wbiegł do hali. Nie można zostawić kielni byle gdzie. Może jutro Szuchow nie wyjdzie do pracy, może pošłą brygadę na Socgorodok, może nie przyjdzie tu przez następne pół roku, więc co ma kielnia przepaść? Jak już podprowadziłeś, to teraz pilnuj!

W hali wygasły już oba piece. Ciemno. Straszno. Straszno nie dlatego, że ciemno, ale dlatego, że wszyscy już poszli, że jego jednego nie doliczą się na wartowni, że konwojenci będą bić.

A przecież - zerk, zerk - zobaczył w kącie spory kamień, odwalil go, wsunął kielnię, opuścił kamień z powrotem. W porządku.

Teraz trzeba jak najszybciej dogonić Sieńkę. A Sieńka odbiegł ze sto kroków, dalej nie idzie. Klewszin nigdy nie opuści w biedzie. Jak podpadną, to obaj.

Pobiegli razem, mały i duży. Sieńka o półtorej głowy jest wyższy od Szuchowa, nawet głowę Bozia mu dała taką ogromną.

Są tacy, co nie mają nic do roboty, tylko z własnej woli biegają na stadionach, na wypródkach. Ich by tak, diabłów rogatych, pogonić w mróz, po całym dniu pracy, nim jeszcze plecy rozprostują, w mokrych rękawicach, w zdartych walonkach.

Zziajali się jak wściekle psy, słyhać tylko: hy-hy! hy-hy!

No, jest brygadzysta na wartowni, wyjaśni przecież.

Wprost na tłum bieżną, strach bierze.

Naraz rozdarły się setki gardzieli i w mać ich, i w ojca, i w morcę, i w nos, i w żebro. Jak tu się nie bać, kiedy człowiekowi wymyśla pięciuset!

Ale najważniejsze - jak konwój?

Konwój jakby nigdy nic. Brygadzysta stoi w ostatnim szeregu. Widać, że wyjaśnił, winę wziął na siebie.

A chłopaki wyją, a chłopaki klną! Tak wyją, że nawet Sieńka niejedno usłyszał, nabrał tchu i jak zasunie z tych swoich wysokości! Całe życie milczy, a teraz jak puścił więchę. Podniósł zaciśnięte pięści, zaraz się porwie do bicia. Zamilkli. Niektórzy się śmieją.

- E, sto czwarta! Coście mówili, że on głuchy? - krzyczą. Sprawdzaliśmy.

Wszyscy się śmieją. Konwojenci także.

- Piątkami ustaw się!

Ale nie otwierają bramy. Sami sobie nie dowierzają. Odepchnęli tłum od bramy, z powrotem. Wszyscy się do tej bramy pchają, jak głupi, jakby od tego miało być szybciej.

- Piątkami ustaw się!

Pierwsza! Druga! Trzecia!...

Każda wywołana piątka przechodzi parę metrów do przodu.

Szuchow trochę odsapnął, obejrzał się, a tam ojczonek - miesiąc rudy, zachmurzony, cały już wylazł na niebo. Jakby go już trochę ubywało. Wczoraj o tej porze stał o wiele wyżej.

Szuchow zadowolony, że wszystko poszło gładko, szturchnął kapitana pod bok i zagadnął:

- Hej, kapitanie, a jak to tam wedle tej waszej nauki, gdzie się potem podziewa stary miesiąc?

- Jak to gdzie? Ciemnota! Po prostu go nie widać!

Szuchow śmieje się, kręci głową:

- Skoro go nie widać, to skąd wiesz, że w ogóle jest?

- A coś ty sobie myślał? - dziwi się kapitan - że co miesiąc jest nowy księżyc?

- A co tu dziwnego? Ludzie się rodzą codziennie, a miesiącowi raz na cztery tygodnie nie wolno?

- Tfu! - kapitan splunął. - Takiego głupiego matrosa jeszcze nie widziałem. No, a co się dzieje ze starym?

- O to właśnie pytam: gdzie on się podziewa? - Szuchow zęby wyszczerzył.

- No? Gdzie?

Szuchow westchnął i lekko sepleniąc, wyznał:

- U nas to powiadali, że stary miesiąc Bóg na gwiazdy kruszy.

- Co za dzicz! - śmieje się kapitan. - Tego jeszcze nie słyszałem! A ty co, Szuchow, w Boga wierzysz?

- A co? - zdziwił się Szuchow.

- Jak zagrzmie, to spróbuj nie uwierzyć!

- A po co Bóg to robi?

- Co?

- No, po co kruszy miesiąc na gwiazdy?

- Czego tu można nie rozumieć?

- Szuchow wzruszył ramionami. - Gwiazdy przecie czasami spadają, trzeba uzupełnić.

- Cofnij się, mać... - wrzeszczy konwój. - Ustaw się!

Konwój liczy, zaraz dojdzie do nich. Przeszła dwunasta piątka piątej setki i zostało tylko ich dwu na końcu, Bujnowski i Szuchow.

Konwój wierci się, zaniepokojony, sprawdza rachunki na kawałkach dykty. Brakuje!

Znowu im brakuje! Żeby chociaż umieli liczyć!

Doliczyli się czterystu sześćdziesięciu dwóch, a powinno być, podobno, czterystu sześćdziesięciu trzech.

Znowu odepchnęli wszystkich od bramy - bo znów zeki na bramę naparli - i znów.

- Piątkami ustaw się!

Pierwsza! Druga!

To ich liczenie od nowa tym jest dotkliwsze, że ucieka już nie państwowy czas, ale nasz własny. Jeszcze trzeba się dowlec stepem do łagru, jeszcze przyjdzie postać przed zoną, czekając na kipisz! Wszystkie obiekty się śpieszą, każdy się stara, żeby jak najprędzej kipisz, żeby jak najszybciej dać nura w łagier... Obiekt, który pierwszy wróci, króluje tego dnia - czeka na niego stołówka, paczki bez kolejki i w przechowalni będzie pierwszy, i w indywidualnej kuchni, i w Kwcz po listy, i w cenzurze, żeby własny list oddać, i na izbie chorych, i u fryzjera, i w łaźni - wszędzie będzie pierwszy.

Konwój też woli szybciej nas zdać i iść do siebie, do koszar. Żołnierze też nie z balu wracają, roboty mają dużo, czasu mało.

A tu im się rachunek nie zgadza.

Kiedy zaczęli przepuszczać ostatnie piątki, wydało się Szuchowowi, że na samym końcu zostanie ich trzech. Ale nie, znowu dwóch.

Ci, co liczyli, poszli do dowódcy konwoju ze swoimi deseczkami. Pogadali. Dowódca krzyczy:

- Brygadzysta sto czwartej brygady!

Tiurin wystąpił o pół kroku.

- Jestem.

- Żaden z twoich nie został?

Przypomnij sobie.

- Nie.

- No, zastanów się, bo łeb urwę!

- Nie, na pewno nie.

Ale zerka na Pawła - czy aby tam który nie zasnął w hali?

- Brygadami ustaw się! - krzyczy dowódca konwoju.

Stali piątkami, jak komu wypadło, kto z kim chciał. Teraz zaczęli się przepychać, zahuczało. Tu krzyczą:

„Siedemdziesiąta szósta do mnie!”, tam: „Trzydziesta! Tutaj!”, tam: „Trzydziesta druga!”

A sto czwarta jak stała na samym końcu, tak i na końcu się zebrała. Wtedy Szuchow spostrzegł, że wszyscy wychodzą z próżnymi rękami, tak się zapracowali, durnie, że nie nzebierali drewek na opał. Tylko dwaj mają niewielkie wiązki.

Ta zabawa odbywa się codziennie. Ludzie przed fajrantem zbierają drzazgi, trzaski, kijaszki, połamane listwy, obwiązują je cienkim szpagatem albo tasiemką, niosą. Pierwsza obława jest koło wartowni, jeśli stoi kierownik robót albo który z dziesiętników, to każe wszystko rzucić na ziemię. Miliony już przepuścili przez komin, teraz myślą, że na tych drwach to nadrobiją. Ale ludzie mają swoje wyrachowanie - jeżeli każdy z brygady doniesie chociaż parę drewek, to będzie cieplej w baraku. Bo dyżurnym wydają po pięć kilo mialu węglowego na piec, z tego nie doczekasz się ciepła. Więc robią tak, że kijaszki łamią albo i piłują na jak najkrótsze kawałki i chowają pod buszlatem. Tak przechodzą obok kierownika.

Konwój nigdy nie każe rzucać drzewa tutaj, na obiekcie. Konwojenci też muszą się ogrzać, ale im samym nosić opału nie wolno. Raz - że mundur nie pozwala, a dwa - że ręce zajęte automatem, żeby mogli w każdej chwili do nas strzelać. Dopiero jak doprowadzą pod obóz, rozkazują: „Od tego do tego rzędu rzucać drzewo na to miejsce!” Ale biorą sprawiedliwie, po bożemu, wiedzą, że trzeba zostawić i dla strażników z łagru, i dla samych zeków, bo inaczej to w ogóle przestaną nosić.

Więc wychodzi na to, że każdy zek musi nosić drzewo co dzień. Nie wiesz, kiedy doniesiesz, a kiedy ci odbiorą.

Kiedy Szuchow rozglądał się, czy nie ma pod nogami jakich kawałków, żeby podnieść, brygadzysta wszystkich przeliczył i zameldował dowódcy konwoju:

- Sto czwarta - wszyscy!

Cezar także już wrócił z kancelarii do swoich. Pyka z fajeczki ogieńkiem czerwonym, czarne wąsy pokryte szronem, pyta:

- Co słysząc, kapitanie?

Bo to syty głodnego zrozumie?

Głupie pytanie - co słysząc?

- Nic nie słysząc - kapitan wzrusza ramionami. - Napracowałem się, ledwie plecy mogę wyprostować. Lepiej byś się tak domyślił i dał zapalić.

Daje Cezar zapalić. Z całej brygady tylko z kapitanem się trzyma, poza nim nie ma do kogo ust otworzyć.

- W trzydziestej drugiej brakuje człowieka! W trzydziestej drugiej! - huczą wszyscy.

Kopnął się zastępca brygadzisty trzydziestej drugiej z jeszcze jednym chłopakiem do warsztatów, żeby szukać. A w tłumie pytają, kto, co i jak? I Szuchow dowiedział się, że brak maleńkiego czarniawego Mołdawianina. Który to Mołdawianin? Czy aby nie ten Mołdawianin, co to, powiadają, był rumuńskim szpiegiem, prawdziwym szpiegiem?

W każdej brygadzie jest z pięciu szpiegów, ale to szpiegi sfabrykowane, lipne, w aktach figuruje, że szpiedzy, a naprawdę po prostu byli w niewoli. Szuchow też jest takim szpiegiem.

A ten Mołdawianin to szpieg prawdziwy.

Dowódca konwoju jak zajrzał do listy, to aż zzieleniał. Jeżeli szpieg uciekł, to co za to czeka dowódcę?

Cały tłum - i Szuchowa - bierze złość. Patrzcie, co to za ścierwo, cham, padalec, paskudnik, zasraniec?! Niebo już czarne, światła tyle co od księżycy, gwiazdy jasne, mróz prawie taki jak w nocy, a tego sukinsyna nie ma! Co, nie zdążył się napracować, ścierwo? Państwowego dnia mu mało, jedenastu godzin od ciemna do ciemna? Prokurator ci da, poczekaj!

Szuchow się dziwi, jak ktoś może tak pracować, żeby fajrantu nie zauważyć.

Zapomniał zupełnie, że sam dopiero co tak pracował, i zły był, że za wcześnie schodzą z roboty. Szuchow marzył jak wszyscy i jak we wszystkich wzbierał w nim gniew; wydawałoby się, że jeśli ich tak przetrzymał ten Mołdawianin jeszcze z pół godziny i wydał go konwój tłumowi, rozszarpaliby go jak wilki cielaka!

Teraz właśnie mróz zaczął brać coraz sroższy. Nikt nie stoi spokojnie - albo przytupują na miejscu, albo chodzą, dwa kroki naprzód, dwa kroki w tył.

Spierają się ludzie, czy Mołdawianin mógł uciec. Jeżeli uciekł w dzień, to inna sprawa, ale jeżeli schował się gdzieś i czeka, aż zdejną wartowników z wieżyczek, to się nie doczeka. Jeśli nie znajdą pod drutami śladu, którędy się przeczołgał, to dopóki go w zonie nie znajdą, będą siedzieć na wieżyczkach choćby i trzy dni. Co tam, choćby i tydzień. Taki mają regulamin, starzy więźniowie o tym wiedzą. A w ogóle jeśli kto ucieknie, to konwój ma za swoje, ganiają ich wtedy bez snu i bez jedzenia. Czasem tak się rozwścieczą, że nie biorą zbiega żywcem. Na miejscu rozstrzelują.

Cezar przekonuje kapitana:

- Na przykład jak binokle zawisły na linie okrętowej... Pamięta pan?
- Mhm... - Kapitan pali papierosa.
- Albo dziecienny wózek na schodach. Toczy się, toczy...
- Tak... Ale życie marynarzy pokazane tam trochę operetkowo.
- Widzi pan, jesteśmy zdemoralizowani przez współczesną technikę zdjęć...
- A oficerowie dranie, wszyscy bez wyjątku.
- Z punktu widzenia prawdy historycznej tak właśnie było!
- A kto nimi w czasie walki dowodził? I te robaki pełzają po mięsie jak dżdżownice.

Czyżby naprawdę tak wyglądały?

- Ale przy pomocy środków, którymi rozporządza film, nie dałoby się ich pokazać, gdyby były mniejsze!

- Myślę, że jakby tak nam to mięso dzisiaj przywieźli do łagru zamiast naszej głównianej rybki i nie myjąc go ani nie skrobiąc rzucili do kotła, to byśmy...

- A-a-a! - zawyli więźniowie.

- U-u-u!...

Zobaczyli, że z warsztatów remontowych wybiegły trzy postacie, to znaczy, że i Mołdawianin się znalazł.

- U-u-u! - ryczy tłum od bramy.

A kiedy tamci podbiegli bliżej:

- Zaraza! Ścierwo, łajno sobacze! Parszywiec! Kanalia! Szuja!

Szuchow także krzyczy:

- Za-ra-za!

No bo przecież, śmiech powiedzieć, więcej niż pół godziny ukradł pięciuset ludziom!

Wtulił głowę w ramiona, biegnie jak myszka.

- Stój! - krzyczy konwojent. I zapisuje: - Ka-czterysta sześćdziesiąt. Gdzie byłeś?

Podchodzi, bierze karabin za lufę, zamierza się kolbą.

Z tłumu ciągle jeszcze krzyczą:

- Swołocz! Ścierwo! Paskuda!

Inni, jak tylko sierżant zaczął karabin odwracać kolbą, przycichli.

Mołdawianin milczy, głowę schylił, cofa się przed konwojentem. Podszedł zastępca brygadzisty trzydziestej drugiej brygady:

- On, ścierwo, schował się przede mną na rusztowaniach, a tam ciepło, to i zasnął.

I w ucho go pięścią! I w łeb!

W ten sposób odpędził go od konwojenta.

Mołdawianin odwrócił się, a tymczasem podskoczył Węgier z trzydziestej drugiej, kopnął go w tyłek, poprawił drugi raz! (Węgrzy w ogóle Rumunów nie lubią).

Będziesz teraz wiedział. To nie to co szpiegować. Szpiegować potrafi każdy dureń. Szpieg ma życie wesołe, beztroskie. Ale spróbuj przekiblować dychę w katorżnym łagrze, na zwykłych robotach!

Konwojent opuścił karabin.

A dowódca konwoju krzyczy:

- Odejść od bramy! Piątkami ustaw się!

O, psie syny, znowu będą liczyć! Cóż tu liczyć, i bez liczenia wszystko już jasne! Więźniowie pomrukują. Całą złość na Mołdawianina przenieśli na konwój. Pomrukują, nie odchodzą od bramy.

- Co-o?! - wrzeszczy dowódca konwoju. - Posadzić was na śniegu? Zaraz posadzę! Do rana przetrzymam!

Jasna sprawa, jak zechce, to posadzi. Ile już razy tak sadzali! A nawet kładli:

„Padnij. Gotuj broń!” To wszystko już było, zeki dobrze wiedzą. Powolutku zaczęli odsuwać się od bramy.

- Odejść! Odejść! - ponagla konwój.

- Czego się pchacie na bramę, ścierwa! - krzyczą ostatnie szeregi na tych na przedzie.

I także odchodzą, odpychane.

- Piątkami ustaw się!

Pierwsza! Druga! Trzecia!

Księżyc już świeci na całego. Pojaśniał, czerwień gdzieś znikła. Podniosą się już na jedną czwartą nieba. Wieczór stracony... Przeklęty Mołdawianin. Przeklęty konwój. Przeklęte życie!

Ci na przedzie już przeliczeni, oglądają się, wspinają na palce, patrzą, czy na samym końcu zostanie dwu czy trzech. Teraz od tego całe życie zależy.

Szuchowowi wydawało się, że zostanie ich czterech w ostatniej piątce. Zamarł z przerażenia: o jednego za dużo! Znowu będą liczyć! Ale okazało się, że to ta hiena Fetiukow chciał wyzebrać niedopałek od kapitana, spóźnił się, nie doszłusował na czas do swojej piątki i dlatego wyglądało, że o jednego za dużo.

Zastępca dowódcy konwoju rąbnął Fetiukowa po karku.

I słusznie!

W ostatniej piątce zostało trzech. No, dzięki ci, Panie Boże, zgadza się!

- Odejść od bramy! - znowu poganiają konwojenci.

Ale tym razem zeki już nie warczą, widzą, że żołnierze wyszli z wartowni i obstawiają plac za bramą.

To znaczy, że będą wypuszczali.

Wolnych dziesiętników nie widać, kierownika robót też nie, wiara niesie wiązki drzewa.

Otwarto bramę. Za bramą, przy poręczach z bali, znów stanął dowódca konwoju z kontrolerem:

- Pierwsza! Druga! Trzecia!...

Jeżeli i tym razem będzie się zgadzało, zdejmą wartowników z wieżyczek.

Ho-ho!, ile to jeszcze trzeba iść od odległych wieżyczek wzdłuż całej zony! Jak tylko wyjdzie z zony ostatni zek i jeśli rachunek się zgadza, zaraz telefonują do wszystkich wieżyczek: „Złaźcie!” Jeżeli dowódca konwoju ma olej w głowie, to wtedy od razu każe ruszać, wie, że zek i tak nie ma dokąd uciec, a tamci z wieżyczek zawsze kolumnę dogonią. Ale jak się trafi dureń, to czeka, boi się, że mu wojska nie wystarczy przeciwko zekom.

Takim jełopem jest dzisiejszy dowódca. Czeka.

Zeki cały dzień na mrozie, przemarzli na śmierć. Od fajrantu przez cały czas stoją, marzną całą godzinę. A mimo wszystko mróz nie tak im doskwiera jak wściekłość, że stracili cały wieczór. Nic się już nie zdąży załatwić w łagrze.

- Skąd tak dobrze zna pan stosunki w angielskiej marynarce wojennej? - pyta ktoś w poprzedniej piątce.

- Widzi pan, spędziłem prawie cały miesiąc na angielskim krążowniku, miałem tam swoją kajutę. Eskortowaliśmy konwój. Byłem oficerem łącznikowym.

- Ach tak! No, to już wystarczy, żeby dostać dwadzieścia pięć lat.

- Nie, jednak jestem przeciwnikiem tego rodzaju krytycyzmu z pozycji liberała. Mam lepsze zdanie o naszym prawodawstwie. (Trele morele, myśli sobie Szuchow, ale się nie wtrąca. Sieńka Klewszin dwa dni mieszkał u Amerykanów i za to dostał dwadzieścia pięć, a

ty miesiąc siedziałeś na ichnim okręcie, to ile ci się należy?) Ale już po wojnie angielski admirał przysłał mi upominek. „W dowód wdzięczności”. Chyba go diabeł podkusił. Nie pojmuję i przeklinam!...

Dziwne. Dziwnie tak popatrzeć: nagi step, opustoszała zona, śnieg błyszczący pod księżycem. Konwojenci już się rozstawili, jeden od drugiego o dziesięć kroków, broń trzymają w pogotowiu. Czarne stado zeków, a między nimi w takim samym waciaku Sz-#311, człowiek, który nie wyobrażał sobie życia bez złotych naramienników, zadawał się z angielskim admirałem, a teraz dźwiga nosiłki w parze z Fetiukowem.

Człowieka można obracać i tak, i owak...

No, konwój gotów. Nie odmawiają modlitwy. Od razu:

- Kro-okiem marsz! Szybciej!

A wała tam - szybciej! I tak zostali już w tyle za wszystkimi obiektami, teraz nie ma się po co spieszyć.

Nie umawiając się i tak wszyscy wiedzą: wyście nas trzymali, to teraz my was potrzymamy. Wy też chcielibyście już posiedzieć w cieple...

- Wydłużyć krok! - woła dowódca konwoju. - Wydłużyć krok, prawoskrzydłowy.

Wała ci tam! - wydłużyć krok! Zeki idą miarowo, posepnie, jak za pogrzebem. My już nie mamy nic do stracenia, i tak przyjdziemy do łagru ostatni. Nie chciałeś z nami po ludzku, to teraz choć pękni od wrzasku.

Dowódca konwoju pokrzyczał to swoje: „wydłużyć krok!”, pokrzyczał, zrozumiał, że zeki nie pójda szybciej. Strzelać nie ma prawa - idą piątkami, w kolumnie, jak należy. Dowódca konwoju nie ma na nich sposobu, nie pójda szybciej. Rankiem zeki tylko tym się ratują, że do pracy wloką się powolutku. Ten, kto szybko biega, nie dożyje w łagrze końca wyroku, padnie.

Idą równiutko, nieśpiesznie. Skrzypi śnieg. Niektórzy po cichutku rozmawiają, inni milczą. Szuchow zaczął sobie przypominać, czego rano nie zdążył zrobić w zonie.

Przypomniał sobie - izba chorych! Aż dziw, że przy pracy zupełnie wyleciało mu z głowy.

Teraz właśnie przyjmują na izbie chorych. Można by jeszcze zdążyć, gdyby nie zjeść kolacji. Ale jakby go już nie łamało.

Gorączki też chyba nie ma... Szkoda czasu! Przettrzymał bez doktorów. Ci doktorzy to tylko do piachu posyłają, tak leczą.

Teraz nie interesowała go już izba chorych, myślał, jak by coś wykombinować do kolacji. Cała nadzieja, że Cezar dostanie paczkę, już dawno powinien.

Nagle - jakby kto odmienił kolumnę zeków. Zakołysała się, utraciła rytm, poderwało ją z głośnym pomrukiem i oto ostatnie piątki, a wśród nich Szuchow, zostały w tyle, zaczęły podbiegać, doganiać.

Przemaszerują kilkanaście kroków i znów biegną.

Kiedy koniec kolumny dotarł na pagórek, Szuchow także zobaczył na prawo, daleko w stepie, czerniała inna kolumna, szła pod kątem, dostrzegła widocznie nas, bo także przyspieszyła.

Mogła to być tylko załoga warsztatów mechanicznych, trzystu ludzi. Im się też, widać, nie powiodło, ich też przetrzymali. Za co? Dlaczego? Zdarza się, że trzymają dłużej, bo jest coś do zrobienia, nie skończyli remontu jakiejś maszyny na przykład. Ale dla nich to pół biedy, cały dzień siedzą w cieple.

No, teraz - kto kogo! Ludzie biegną, dosłownie biegną. Konwój także ruszył truchtem, tylko dowódca pokrzykuje:

- Nie rozciągać kolumny!

Dołączyć z tyłu! Dołączyć!

Ach ty, hak ci w smak, czego szczekasz?! Sami nie wiemy, czy co?

Pozapominali, kto o czym mówił, kto o czym myślał, dla wszystkich w kolumnie teraz tylko to jedno ważne:

Nie dać się! Wyprzedzić!

Tak się wszystko przemieszało, słodkie z kwaśnym, kwaśne ze słodkim, konwój już nie jest wrogiem zeków, tylko sprzymierzeńcem, wróg - to tamta kolumna.

Od razu wszyscy poweseleli, minęło złe.

- Gazu! Gazu! - krzyczą ci z tyłu do tych na przedzie.

Nasza kolumna wpadła w ulicę, tamtą z warsztatów przesłoniły bloki mieszkalne. Zaczął się wyścig na oślep.

Naszej kolumnie łatwiej iść przetartą drogą, środkiem ulicy. Konwojenci po bokach też już tak się nie potykają. Teraz powinniśmy wyprzedzić tamtych!

Wyprzedzić warsztatowców trzeba także i dlatego jeszcze, że ich szczególnie długo trzymają zawsze na kipiszu. Od czasu, kiedy w łagrze zarżnięto tamtych trzech, naczalstwo uważa, że noże wyrabia się w warsztatach mechanicznych i stamtąd trafiają do łagru. Dlatego rewizja przy wejściu do łagru jest szczególnie dokładna. Późną jesienią, po grudzie, krzyczeli:

- Warsztaty mechaniczne, buty zdjąć! Trzymać buty w rękę!

Kipiszowali bosych ludzi.

A i teraz, mróz nie mróz, wyciągają na chybił-trafił:

- No, ściągnij prawy walonek!

A ty ściągnij lewy!

Zek ściąga walonek, skacze na jednej nodze, musi ten walonek wywrócić, wytrząsnąć onuce, pokazać, że nie ma noża.

Szuchow słyszał - nie wiadomo, prawda czy nieprawda - że tamci z warsztatów jeszcze w lecie przynieśli do łagru dwa słupy do siatkówki i wszystkie noże były schowane w tych słupach. W każdym słupie dziesięć długich noży. Teraz z rzadka znajdują te noże w łagrze to tu, to tam.

Minęli na wpół biegiem nowy dom kultury, minęli osiedle mieszkaniowe i tartak, wypadli prosto na zakręt ku łagrowej wartowni.

- Hu-u-u! - wrzasnęła cała kolumna jak jeden.

Na to właśnie skrzyżowanie chcieli wyskoczyć! Tamci zostali z prawej, ze sto pięćdziesiąt metrów za nimi.

No, teraz już idą spokojnie.

Każdy w kolumnie cieszy się. Zającza radość - są i takie zaby, które nas się boją.

Otóż i łagier. Taki sam, jaki zostawili rano - noc, światła na zonie nad gęstym ogrodzeniem, szczególnie gęsto stoją latarnie przed wartownią, miejsce kipiszu jak zalane słońcem.

Ale zanim jeszcze doszli do wartowni...

- Stój!... - krzyczy zastępca dowódcy konwoju. Oddał swój automat żołnierzowi, podbiega do kolumny - z automatem nie wolno im podchodzić za blisko. - Wszyscy z prawej, którzy mają drzewo, rzucić drzewo na prawo!

Na wierzchu je nieśli, nie ukrywali, widział wszystkie. Poleciała jedna wiązka, druga, trzecia. Niektórzy chcą ukryć drewnianka, oddać tym w głębi kolumny, a sąsiedzi na nich:

- Przez ciebie wszystkim odbiorą! Rzucaj po dobremu!

Kto jest największym wrogiem więźnia? Inny więzień. Gdyby wszyscy aresztanci trzymali sztamę, nie miałyby nad nimi naczalstwo żadnej władzy... eeech!...

- Ma-arsz! - krzyczy zastępca dowódcy.

Poszli pod wartownię.

Przy wartowni zbiega się pięć dróg, godzinę temu tłoczyły się tam wszystkie obiekty. Jeśli wzdłuż tych wszystkich dróg pobudują ulice, to w miejscu gdzie wartownia i kipisz, będzie centralny plac przyszłego miasta. I tak jak teraz ze wszystkich stron ciągną tu obiekty, tak wtedy będą się tutaj schodziły kolumny manifestacji.

Strażnicy grzali się już na wartowni. Wychodzą, ustawiają się w poprzek drogi.

- Porozpinać buszłaty! Waciaki porozpinać!

Ręce porozkładali. Będą obmacywać dokładnie. Tak samo zresztą jak rano.

Teraz można się rozpinać, nic strasznego, idziemy do domu.

Właśnie tak wszyscy mówią: „do domu”.

Innego domu nie ma, choćbyś i wspominał w ciągu dnia.

Czoło kolumny już kipiszowali, kiedy Szuchow podszedł do Cezara i powiedział:

- Cezar Markowicz! Pobiegnę od razu z wartowni do magazynu paczek i zajmę dla was kolejkę.

Cezar zwrócił do Szuchowa gęste, czarne, teraz od dołu pobielełe wąsy:

- Po co zajmować, Iwan Denisycz? Nie wiadomo, czy jest paczka.

- Jeśli nawet nie ma, to co mi szkodzi? Poczekam dziesięć minut, a nie przyjdziecie, to pójdę do baraku.

Szuchow myśli: jeśli nie Cezar, to może przyjdzie kto inny, komu się sprzeda miejsce w kolejce.

Cezar widocznie tęskni już do paczki.

- Dobrze, Iwan Denisycz, leć, zajmuj. Dziesięć minut poczekaj, ale nie dłużej.

Kipisz już tuż-tuż, zaraz dojdzie do nich. Szuchow nie ma dziś nic do ukrycia, podchodzi bez obawy. Nie spiesząc się rozpiął buszłat, waciak także rozchełstał pod brezentowym paskiem.

Nie przypominał sobie wprawdzie, żeby miał dziś coś niedozwolonego, ale ostrożność wyrobiona przez osiem lat odsiadki weszła w przyzwyczajenie. Wsunął rękę do kieszeni na kolanie spodni, żeby upewnić się, czy kieszeń, jak o tym dobrze wiedział, jest pusta.

Ale tam było ostrze, kawałek narzędziowej stali! Stal, którą po gospodarsku podniósł dziś na budowie, której nie zamierzał w ogóle przynieść do łagru.

Nie miał zamiaru jej szmuglować, ale teraz, kiedy doniósł już tu, żal było wyrzucać! Przecież można z niej wytoczyć maleńki nożyk, choćby szewski, choćby krawiecki!

Gdyby miał zamiar przemycać tę stal, dobrze by obmyślił, gdzie ją schować. A teraz zostały przed nim już tylko dwie piątki, już pierwsza z nich wystąpiła i szła na rewizję.

Trzeba było decydować się błyskawicznie - albo za plecami ostatniej piątki rzucić ją cichaczem w śnieg - znajdą potem, ale nie będą wiedzieli, kto rzucił - albo schować.

Za tę stal można dostać dziesięć dni karceru, gdyby ją uznano za nóż.

Ale szewski nożyk to był zysk, to był chleb!

Szkoda wyrzucać.

Szuchow wsunął stal w watowaną rękawicę o jednym palcu.

Właśnie kazali podejść do rewizji ostatniej piątce.

I w pełnym świetle zostało tylko ich trzech - Szuchow, Sieńka i chłopak z trzydziestej drugiej brygady, ten, co biegał szukać Mołdawianina.

Ponieważ było ich tylko trzech, a Strażników przed nimi stało pięciu, można było kombinować, wybrać, do którego z dwóch stojących po prawej stronie lepiej podejść. Szuchow wybrał nie czerwonogębego, młodego, ale starego o siwych wąsach. Stary był, na pewno doświadczony wyjadacz, znalazłby bez trudu, gdyby tylko zechciał, ale ponieważ był stary, więc służby powinien już mieć po dziurki w nosie.

Tymczasem Szuchow ściągnął obie rękawice, tę z ostrzem i tę pustą, ścisnął je w jednej dłoni tak, że pusta sterczała ku przodowi, tą samą dłonią chwycił sznurek, którym się przepasywał, do reszty rozpiął poły buszłata i waciaka. Usłużnie podniósł do góry - nigdy nie był tak usłużny na kipiszu, ale teraz chciał pokazać, że nie ma nic do ukrycia, na! masz, macaj! - i kiedy padła komenda, podszedł do wąsacza.

Siwowąsy strażnik obmacał go po bokach i po plecach, klepnął po kieszeni na kolanie - nic tam nie ma - zmiął w dłoniach poły buszłata i waciaka, także nic nie ma, i już na odchodne dla wszelkiej pewności zgniół w dłoni odstającą rękawicę Szuchowa, tę pustą.

Strażnik zmiął rękawicę, a Szuchowa jakby kto w środku ścisnął obcęgami. Jeszcze jeden taki ruch ręki tamtego i będzie spalony, pójdzie do karceru na trzysta gramów dziennie, gorąca zupa raz na trzy dni. Zawczasu wyobraził sobie, jak tam opadnie z sił, jak się wygłodzi, jak trudno będzie mu potem wrócić do tego stanu, w którym jest teraz, wytrzymałby nie najedzony, ale i nie głodny.

I nagle żarliwie, strzeliście pomodlił się: „Panie Boże, ocal! Nie pozwól, żeby do karceru!”

Zdażył pomyśleć o tym wszystkim w czasie, kiedy strażnik gniótł pierwszą rękawicę i właśnie zamierzał złapać drugą. Gdyby Szuchow trzymał oddzielnie rękawice w obu dłoniach, a nie w jednej, strażnik zgniółby obie jednocześnie. Ale właśnie wtedy dowódca, chcąc skończyć jak najszybciej, krzyknął do konwojentów:

- Podprowadzić warsztaty!

I siwowąsy strażnik zamiast zabrać się do drugiej rękawicy Szuchowa, machnął ręką - znaczy możesz iść. Zwolnił.

Szuchow dogonił swoich. Stali już, ustawieni piątkami, między dwoma długimi szlabanami, podobnymi do koniowiezi na bazarach - coś niby okólnik dla zeków. Biegł lekki, jak na skrzydłach, nie pomodlił się powtórnie, nie podziękował Bogu, bo nie miał kiedy, a i było już poniewczasie.

Konwój, który prowadził ich kolumnę, odszedł teraz na bok, ustąpił miejsca konwojowi warsztatów, czekał jeszcze tylko na swojego dowódcę. Konwojenci starannie pozbierali dla siebie drwa rzucone przed rewizją, a te, które strażnicy odebrali już na kipiszu, zwalone były na jedno miejsce koło wartowni.

Księżyc wznosił się coraz wyżej, w białej, jasnej nocy tężał mróz.

Dowódca konwoju, idąc na wartownię, żeby odebrać pokwitowanie za czterysta sześćdziesiąt trzy głowy, rozmawiał z Priachą, zastępcą Wołkowskiego, i ten krzyknął:

- Ka-czterysta sześćdziesiąt!

Mołdawianin, który schował się w głębi kolumny, westchnął i wyszedł pod prawy szlaban. Głowę miał wciąż opuszczoną i wciśniętą w ramiona.

- Stań tam! - Priacha kazał mu obejść koniowież.

Mołdawianin obszedł. Kazano mu wziąć ręce do tyłu i tam stanąć.

To znaczy, że będą go wrabiać w próbę ucieczki. Pójdzie do bunkra.

Jeszcze przed bramą, po lewej i po prawej, za okólnikiem, stali dwaj wartownicy. Brama, wysoka na trzech chłopa, otworzyła się powoli, padła komenda:

- Piątkami, ustaw się!

Tu „Odejść od bramy” nie jest potrzebne, każda brama otwiera się zawsze do środka, żeby zeki nie mogli jej wyważyć, nawet gdyby natarli na nią gromadą od wewnątrz.

- Pierwsza! Druga! Trzecia...

Przy tym wieczornym przeliczaniu w bramie łagru po powrocie zek jest bardziej niż kiedykolwiek w ciągu dnia przemarznięty, przewiany do kości, zgłodniały i chochła parzącego postnego wieczornego kapuśniaku jest teraz dla niego tym, czym deszcz po długiej suszy - taką chochłą przełknie jednym haustem. Ta chochła droższa mu teraz niż wolność, droższa niż całe jego dotychczasowe i całe przyszłe życie.

Przez bramę łagru zeki przechodzą dziarsko, prężnie, zamasyście, jak żołnierze wracający z wojny - precz z drogi!

Pridurok z baraku komendantury patrzy z przerażeniem na tłum wchodzących zeków.

Od momentu wieczornego przeliczania zek staje się znowu wolnym człowiekiem, po raz pierwszy od wpół do siódmej rano, od gwizdka do pracy. Minęliśmy wielką bramę zony, minęliśmy małą bramę międzyzony, przeszliśmy jeszcze kawałek placu między dwoma płotkami z żerdzi i już możemy iść, dokąd kto sobie chce.

Dokąd chce, ale brygadzystów łowi dyspozytor:

- Brygadziści! Do Ppcz!

To znaczy szykować jarzmo na dzień jutrzejszy.

Szuchow pobiegł - minął bunkier, potem między baraki - do magazynu paczek. A Cezar godnie, miarowym krokiem poszedł w przeciwną stronę, tam gdzie kłębił się tłum pod słupem, do którego przybity był kawałek dykty, a na nim chemicznym ołówkiem wypisani wszyscy, którzy dostali dziś paczki.

W łagrze rzadko pisze się na papierze, przeważnie na dykcie. Na drewnie jakoś trwalej, pewniej. I strażnicy, i dyspozytorzy pogłowie zeków liczą na dykcie. Na drugi dzień się zdrapie i można pisać od nowa.

Oszczędność!

Ci, co zostają w zonie, wysługują się także i tak: patrzą, kto dostał paczkę, potem czekają na niego od razu na placu apelowym i podają mu numer. Dużo niedużo, ale papierosa zawsze takiemu odpalą.

Szuchow dobiegł do magazynu paczek. Do baraku doczepiono przybudówkę, a do tej przybudówki jeszcze sionkę, sionka jest bez drzwi, hula po niej wiatr, zimno, a jednak jakby tam zaciszniej, zawszeć pod dachem.

W sionce stała kolejka, długa, zakręcona. Szuchow zajął miejsce. Przed nim piętnastu ludzi, potrwa najmniej godzinę, akurat do wieczornej syreny. Ci z brygady ciepłowni, którzy poszli czytać listę, będą już za Szuchowem, także wszyscy z warsztatów mechanicznych będą stać po paczkę jeszcze raz, jutro z rana.

Stoją w kolejce, z torebkami, woreczkami. Tam, za drzwiami Szuchow w tym łagrze jeszcze ani razu nie dostawał paczki, ale wie z tego, co mówią - otwierają siekierą skrzynkę, w której przyszła paczka, strażnik własnoręcznie wszystko wyjmuje, przegląda. Rozetnie, przełamie, przesypie, obmaca. Jeśli trafi się jakiś płyn, w szkle albo w blaszance, to odkorkują i przeleją ci choć w otwarte dłonie, choć w ręcznik. Słoika ani bańki ci do ręki nie dadzą, boją się dlaczegось. Jeżeli jest ciasto, słodczye jakieś bardziej wymyślne albo kiełbasa czy rybka - to strażnik nadgryzie. A spróbujesz podskoczyć, od razu się przyczepi, że tego nie wolno, a tamto zabronione, i w ogóle ci nie wyda. Kto dostaje paczkę, musi dawać, dawać, dawać wszystkim poczynając od strażnika. Jak skończą rewidować paczkę, to nie dają jej w skrzynce, ładuj wszystko do torby albo w połę waciaka, jak tam sobie chcesz i - zjeżdżaj - następny. Niejednego to tak poganiają, że zapomni czegoś na ladzie, wracać nie warto. Niczego już nie znajdziesz.

Kiedyś, jeszcze w Ust-Iźmie Szuchow kilka razy dostał paczkę, ale potem napisał do żony, że na próżno się męczy, żeby nie posyłała, dzieciakom od ust nie odejmowała.

Chociaż na wolności łatwiej mógł Szuchow wykarmić całą rodzinę niż tutaj siebie jednego, ale wiedział, ile te paczki kosztują, wiedział też, że nie może rodzina posyłać mu przez dziesięć lat. To już lepiej całkiem bez paczek.

Ale choć sam tak zdecydował, to przecież jednak za każdym razem kiedy ktoś z brygady albo któryś sąsiad z baraku dostawał paczkę - więc prawie co dzień - ścisnęło mu się serce, że to nie on. Surowo zabronił żonie przysyłać paczki, nawet na Wielkanoc nigdy nie chodził pod słupek, żeby sprawdzić, czy go nie ma na liście - czasem tylko w zastępstwie kogoś z zamożnych zeków ze sto czwartej - a przecież nie wiedzieć czemu nieraz miał nadzieję, że ktoś przybiegnie i powie: „Szuchow! dlaczego nie idziesz? Paczka dla ciebie przyszła!”

Ale nikt nie przybiegał...

Coraz mniej też było przyczyn, żeby wspominać o rodzinnym Tiemgieniewie, o domu... Życie tutejsze zmuszało do gonitwy od pobudki do wieczornej syreny, nie zostawiało czasu na ciche wspomnienia. Teraz, stojąc wśród tych, którzy cieszyli się, że już zaraz będą mogli wbić zęby w kawał słoniny, posmarować chleb masłem, dosłodzić cukrem swój kubek, Szuchow myślał tylko o jednym - żeby zdążyć ze swoją brygadą do stołówki, żeby zjeść bałandę, póki jeszcze gorąca, póki nie wystygła. Zimna bałanda niewarta nawet połowy tego co gorąca.

Liczył, że jeśli Cezar nie znalazł na liście swojego nazwiska, to dawno już jest w baraku, myje się. A jeżeli znalazł, to zbiera teraz woreczki, plastikowe kubki, opakowania. Właśnie dlatego, żeby Cezar zdążył je pozbiierać, Szuchow obiecał czekać przez dziesięć minut.

Tu, w kolejce, usłyszał nowinę: w tym tygodniu znów nie będzie niedzieli, znów niedzielę zabrali. Spodziewał się tego, wszyscy się tego spodziewali, bo jeśli wypada w miesiącu pięć niedziel, to wolne są trzy, a przez dwie gonią do pracy. Spodziewał się, a przecież zrobiło mu się ciężko na sercu, kiedy o tym usłyszał. Komu by nie było szkoda serdecznej niedzieli? Ale przecież sprawiedliwie mówią w kolejce - naczalstwo potrafi i w żonie urządzić dodatkowy dzień roboczy, zawsze coś wynajdzie - albo łaźnię trzeba budować, albo stawiać płot, żeby ludzie nie mogli przejść, dokąd potrzebują, albo po prostu sprzątać teren. Może być wymiana sienników, przetrząsanie trocin albo odpluskwanie prycz. Jeszcze sprawdzanie więźniów według fotografii - ten, czy nie ten. Albo inwentaryzacja - wtedy wychodź ze wszystkimi rzeczami na dwór, czekaj pół dnia.

Tego widocznie najbardziej nie mogą znieść, żeby zek sobie pospał po śniadaniu.

Ogonek przesuwiał się, choć powoli. Fryzjer, buchalter i jeden taki z Kwcz podeszli bez kolejki, odepchnęli pierwszego, nikogo nie pytali. Ale to były mocne łagrowe pridurki, największe szuje, jakie tylko siedzą w zonie, nie żadni tam zwyczajni więźniowie. Ludzie uważali ich za coś gorszego od gówna, oni ludzi tak samo. Ale spierać się z nimi nie było sensu - pridurki trzymają sztamę ze sobą i ze strażnikami.

Stało jeszcze przed Szuchowem z dziesięć osób, za nim przybyło jeszcze siedem, kiedy nachylając się wszedł Cezar w swojej nowej futrzanej czapie, przysłanej z wolności. Choćby i ta czapka. Cezar dał komuś w łapę i pozwolili mu chodzić w czystej nowej własnej czapce. A innym pozabierali nawet te stare jeszcze z frontu i kazali nosić łagrowe, ze świńskiego futra.

Cezar uśmiechnął się do Szuchowa i od razu podszedł do dziwaka w okularach, który cały czas w kolejce czytał gazetę:

- Aa-a! Piotr Michałycz!

Rozpromienili się do siebie jak dwa słońca. Cudak:

- A ja mam nową „Wieczorną”.

Niech pan patrzy! Właśnie dostałem!

- No, no?! - Cezar też wsadza nos w gazetę. Pod sufitem słabiutka żaróweczka, co tam można przy niej przeczytać takimi drobnymi literami?

- Bardzo ciekawa recenzja z premiery Zawadskiego!...

Oni, ci z Moskwy, czują jeden drugiego z daleka, jak psy. A jak się i zejda, to się tylko obwąchują i obwąchują po swojemu. A gadają szybko, który więcej słów powie! A jak gadają, to tak rzadko trafi się ruskie słowo, że kiedy ich słuchasz, to jakbyś słuchał Łotyszów albo Rumunów.

Ale w rękę Cezar trzyma te różne woreczki, przyniósł co trzeba.

- No to co... Cezar Markowicz... - sepleni Szuchow.

- To ja chyba pójdę?

- Oczywiście, proszę bardzo - Cezar podniósł znad gazety czarne wąsy. - To za kim stoję? Kto za mną?

Objął mu Szuchow, kto za kim stoi, i spytał, nie czekając, aż Cezar sam wspomni o kolacji:

- A kolację wam przynieść?

To znaczy czy przynieść ze stołówki do baraku, w menażce. Przynosić nie wolno, ile razy surowo wzbrani! Łapią, menażkę wylewają na ziemię, wsadzają do karceru, a zeki

mimo wszystko noszą i będą nosić, bo jak kto ma co do załatwienia, to nigdy nie zdąży do stołówki razem ze swoją brygadą.

Zapytał, czy przynieść kolację, ale myśli sobie: „Chyba nie będziesz taki? Chyba kolacji mi nie pożałujesz? Przecież nie będzie na kolację kaszy, tylko sama bałanda...”

- Nie, nie - uśmiechnął się Cezar. - Sam zjedz moją kolację, Iwan Denisycz!

Na to tylko Szuchow czekał! Wyfrunął z sionki na zonę, jak wolny ptak, i gazu, gazu!

Zeki snują się po całej zonie. W swoim czasie komendant łagru wydał rozporządzenie, że żadnemu więźniowi nie wolno chodzić po zonie w pojedynkę. Gdzie tylko się da, należy całą brygadę prowadzić w szyku zwartym. A powiedzmy na izbę chorych albo do latryny, tam, gdzie cała brygada iść nie ma po co, należy formować grupy z czterech albo pięciu ludzi i wyznaczać spośród nich starszego, który poprowadzi grupę, poczeka i wszystkich razem przyprowadzi z powrotem.

Komendant łagru bardzo się upierał przy tym rozporządzeniu.

Nikt nie miał odwagi mu się sprzeciwić. Strażnicy wylapywali pojedynczych, zapisywali numery, zabierali do karceru, ale wszystko nadaremnie. Ileż to gromkich rozporządzeń zdycha tak po cichutku. No, powiedzmy, oper wzywa człowieka, to co, mają posyłać z nim całą brygadę. Albo ty masz iść po swój prywatny prowiant do magazynu, a ja po co tam z tobą pójdę? Jeden musi odnieść walonki do naprawy, drugi do suszenia, a trzeci po prostu idzie z baraku do baraku - z baraku do baraku wzbronione najsurowiej: - jak ich powstrzymać?

Tym rozporządzeniem komendant chciał odebrać zekom ich ostatnią wolność, ale nie udało mu się, brzuchaczowi.

Szuchow spotkał po drodze strażnika, uchylił przed nim czapki na wszelki wypadek, wbiegł do baraku. W baraku - wrzask, kotłowanina, komuś w dzień ściągnęli chleb, teraz wrzeszczy na dyżurnych i dyżurni wrzeszczą. W kącie sto czwartej nie ma nikogo.

Szuchow uważa wieczór za wyjątkowo pomyślny, jeśli wracając do zony zastaje nie przetrząśnięte materace, jeśli w dzień nie było w baraku rewizji.

Skoczył do swojej pryczy, zawczasu ściągając buszlat z ramion. Rzucił buszlat na górę, rękawicę z kawałkiem stali, pomacał siennik - jest poranny kawałek chleba! Uradował się, że zaszył.

Teraz biegiem na dwór! Do stołówki!

Przemknął nie napotykając strażników. Tylko zeki szli z przeciwnej strony kłócąc się o rację chleba.

W poświęcie księżycy coraz jaśniej było na dworze. Światła latarń przyblakły, baraki rzucały czarne cienie. Do stołówki wchodziło się po czterech schodkach przez obszerny ganek, ten ganek teraz też był zacieniony. Ale nad gankiem chwieje się lampa, poskrzypuje na mrozie. Czy to od mrozu, czy z brudu żarówki świecą tęczowo?

Komendant łagru wydał także i takie surowe zarządzenie - brygady mają wchodzić do stołówki w szyku zwartym, dwójkami. Zarządzenie mówiło też, że brygady, kiedy przyjdą pod stołówkę, mają nie wchodzić na ganek, ale przeformować się w piątki i czekać, aż dyżurny stołówki każe wejść.

Funkcji dyżurnego stołówki twardo trzymał się Kulawy. Przemienił swoją kulawiznę w inwalidztwo, ale siłę ma, ścierwo. Zrobił sobie brzożową łagę i tą łagą zwała z ganku tych, którzy wchodzi samowolnie. Ale nie wszystkich. Kulawy ma bystre oczy, po ciemku nawet po plecach rozpozna, nie uderzy tego, który może mu dać w mordę. Biję najsłabszych. Szuchowowi przysunął tylko raz.

Nazywa się, że dyżurny. Ale po prawdzie jak się przyjrzeć - księżę i pan, przyjaźni się z kucharzami!

Dziś, czy to wszystkie brygady zwały się jednocześnie, czy spóźnili się w stołówce, dość że ganek oblega tłum, a na ganku Kulawy, łagas Kulawego i sam kierownik stołówki. Dają sobie radę bez strażników, sobaki!

Kierownik stołówki, spasione bydłę, głowę ma jak tykwa, w barach szeroki na arszyn. Tyle ma siły, tak go rozpiera, że chodzi tak sprężyste, jakby ręce i nogi miał na sprężynach. W białej puszystej czapce, bez numeru, żaden z wolnych nie ma takiej czapki. Ma futrzaną, baranią kamizelkę, numer na piersi taki maleńki jak znaczek pocztowy, ustępstwo na rzecz Wołkwoja, na plecach nawet takiego numeru nie ma. Kierownik stołówki nie kłania się nikomu, za to jego boją się wszyscy więźniowie. W każdym ręku trzyma tysiąc ludzkich losów. Chcieli go raz pobić, to wszyscy kucharze wyskoczyli na pomoc, same zabijaki, co jeden to gorszy oprych.

Jeżeli sto czwarta już przeszła, będzie bieda. Kulawy zna wszystkich zeków z twarzy, przy kierowniku za nic nie przepuści z obcą brygadą, naumyślnie będzie się wyzwierał.

Czasem przechodzą na ganek przez poręcz za plecami Kulawego, łąził tak i Szuchow. Ale dziś, przy kierowniku, nie ma co próbować, tak skuje mordę, że potem tylko na izbę chorych.

Szybciej, szybciej pod ganek, wśród tych jednakowych czarnych waciaków trzeba po ciemku sprawdzić, czy sto czwarta jest tu jeszcze.

Ale brygady akurat napały (nie ma wyjścia, już niedługo wydzwonią koniec dnia), pchają się jak do szturm na twierdzę, już zdobyły pierwszy schodek, drugi, trzeci, czwarty, wdarły się na ganek!

- Stójcie, k...wy! - drze się Kulawy, podniósł pałkę na najbliższych. - Stać! Bo mordę rozkwaszę!, Z tyłu, jak to z tyłu, prawda, popychają, ale i ci na przedzie nie bardzo się opierają, mają nadzieję, że ich wepchną do stołówek.

Kulawy chwycił oburacz swoją lagę, wysunął ją przed pierś jak opuszczony szlaban i jak nie skoczy, jak nie popchnie tych na przedzie! Fagas, pomocnik Kulawego, też napał na lagę, nawet kierownik nie brzydzi się powalać rąk, też chwycił.

Ruszyli ostro, a siły mają nieprzebrane, mięso przecie jedzą - odepchnęli.

Poprzewracali tych z przodu na tych z tyłu, z góry na dół, zwalili ich jak snopy.

- Kulasio pieprzony... twoja mać! - krzyczą z tłumu, ale chowają się za plecami innych. Ci z ostatnich szeregów poprzewracali się w milczeniu i podnoszą się milczkiem, byle szybciej, zanim ich zdeptają.

Schodki opustoszały. Kierownik stołówki wrócił na ganek, a Kulas stanął na najwyższym stopniu i poucza:

- Poustawiajcie się piątkami, baranie głowy, ile razy trzeba wam powtarzać?! Przyjdzie pora, to wpuszczę!

Szuchow dostrzegł tuż koło ganku jakby głowę Sieńki Klewszina, ucieszył się, zaczął się przepychać łokciami w tamtą stronę. Gdzie tam, plecy przy plecach, nie da rady, nie przeciśniesz się.

- Dwudziesta siódma! - krzyczy Kulawiec. - Przechodzić!

Dwudziesta siódma wyskoczyła na schodki i czym prędzej do drzwi. A za nią znowu wszyscy pobiegli po stopniach, ci z tyłu naciskają. Szuchow także pcha z całych sił. Trzęsie się ganek, lampa nad gankiem poskrzypuje.

- Znowu, ścierwa? - wścieka się Kulawy. I lagą kogo popadnie po plecach, po rękach, spycha, zwała jednych na drugich.

Znów oczyścił schodki z ludzi.

Szuchow zobaczył z dołu, że koło Kulasa stanął Pawło. Tu brygadę przyprowadza Pawło, Tiurin nie będzie się pospolitował w tym tłoku.

- Sto czwarta, piątkami ustaw się! - krzyczy z góry Pawło. - A wy się odsuniecie przyjaciele!

Takiego wała, jak przyjaciele się odsuną!

- Puśćcie, bałwanie! Jestem z tamtej brygady - szarpie kimś Szuchow.

Tamten chętnie by puścił, ale i jego ścisnęli ze wszystkich stron.

Tłum się kołysze, dusi, byle dostać swoją bałandę. Należną im bałandę.

Więc Szuchow spróbował inaczej, złapał za lewą poręcz, objął oburacz słup ganku i zawisł nad ziemią. Kopnął kogoś w kolano, dostał po żebrach, skłębli go, ale już dał nura, oparł nogę na parapecie ganku, przy najwyższym schodku, czeka. Zobaczyli go nasi, podali rękę, wciągnęli.

Kierownik stołówki na odchodnym obejrzał się w drzwiach:

- Dawaj, Kulas, jeszcze dwie brygady!

- Sto czwarta! - krzyknął Kulawiec. - A ty gdzie się pchasz, ścierwo?!

- Sto czwarta! - krzyczy Pawło, przepuszcza swoich.

- Ufff! - Szuchow wdarł się do stołówki. Nie czekając, aż Pawło mu powie, zaczął się rozglądać za wolnymi tacami.

W stołówce jak zawsze - kłęby pary buchają od drzwi, ludzie siedzą jeden przy drugim, jak pestki w słoneczniku, snują się między stołami, trącając jeden drugiego, ktoś przepycha się z pełną tacą. Ale Szuchow przywykł do tego przez tyle lat, oczy ma bystre, widzi, że Sz-#208 niesie na tacy tylko pięć misek, to znaczy, że to już ostatnia taca brygady. Bo jeśli nie, czemu niesie niepełną?

Dogonił go, szepcze mu z tyłu do ucha:

- Braciszku! Zamawiam tacę po tobie!

- Już tam jeden czeka na nią przy okienku, obiecałem mu.

- Kij mu w oko, niech sobie czeka, na drugi raz będzie lepiej pilnował.

Dogadali się.

Tamten doniósł, gdzie miał donieść, zdjął miski z tacy, Szuchow chwycił tacę, ale nadbiegł tamten, który miał ją obiecać, i złapał z drugiej strony. Chudy, drobniejszy niż Szuchow. Szuchow przysunął mu tacę, tamten poleciał aż pod słup, puścił. Szuchow tacę pod pachę i do okienka.

Pawło stoi w kolejce, martwi się, że nie ma tac. Ucieszył się:

- Iwan Denisycz! - i odpycha zastępcę brygadzisty dwudziestej siódmej brygady, który stał przed nim. - Przepuść! Co stoisz po próżnicy? U mene podnosy je!

Patrząc, a tu i Hopczyk, smyk jeden, niesie tacę.

- Zagapili się - śmieje się - a ja ściągnąłem.

Z Hopczyka będzie jeszcze zek jak się patrzy. Za jakieś trzy lata poduczy się, podrośnię - wróżą mu, że będzie robił co najmniej w magazynie, przy chlebie.

Drugą tacę Pawło kazał wziąć Jermołajewowi, potężnemu Sybirakowi (też dostał dychę za niewolę). Hopczyka posłał wypatrywać, przy którym stole kończą wieczerzać. Szuchow oparł skraj swojej tacy na ladzie okienka, czekał.

- Sto czwarta! - melduje do okienka Pawło.

Okienek jest pięć. Trzy ogólne, w których wydają brygadam, jedno dla tych, którzy dostają według listy (dziesięciu chorych na wrzód żołądka i wszyscy z buchalterii, po uważaniu) - w piątym oddaje się naczynia. Biją się tam ci, co wylizują miski. Okienka są nisko, nieco powyżej pasa. Nie widać przez nie kucharzy, tylko ręce i chochle.

Kucharz ma białe, wypiełgnowane, owłosione, ogromne łapska. Zupełnie jak bokser, a nie jak kucharz. Wziął ołówek, odhaczył u siebie na liście na ścianie:

- Sto czwarta! Dwudziestu czterech!

Pantielejew widocznie przywłókł się do stołówki. Taki on i chory, suka.

Kucharz sięgnął po wielką, chyba trzylitrową chochlę i zaczął mieszać, mieszać w kotle. Kocioł dopiero co nalany, prawie pełny, bucha z niego para. Teraz kucharz wziął chochlę na trzy czwarte litra, zaczął czerpać, zanurzając nie nazbyt głęboko.

- Raz, dwa, trzy, cztery...

Szuchow wypatrzył, które miski zostały napełnione, zanim jeszcze gęste osiadło na dnie kotła, a które potem samą już lurą, jałowizną. Ustawił dziesięć misek na swojej tacy, poniósł, Hopczyk kiwa do niego spod drugiego słupa:

- Tutaj, Iwan Denisycz, tutaj!

Nosić miski, to nie w kij dmuchał. Szuchow stąpa płynnie, ostrożnie, żeby taca ani drgnęła, gardłem pracuje przeważnie:

- Ej, ty, Ha-dziewięćset dwanaście!... Uważaj, człowieku... Z drogi, chłopcze!...

W takim ścisku niełatwo donieść jedną miskę tak, żeby się nie rozlało, a co dopiero dziesięć! A przecież w uprzątniętym przez Hopczyka końcu stołu Szuchow postawił tacę delikatnie, bez jednego świeżego śladu rozlania. A jeszcze postarał się tak postawić, żeby w tym rogu, gdzie sam siądzie, wypadły dwie miski z najgęstszym.

Jermołajew przyniósł drugie dziesięć. A Hopczyk pobiegł i przynieśli z Pawłem ostatnie cztery w rękach.

Kildigs przyniósł na tacy chleb. Dziś karmią według pracy, jeden dostanie dwieście, drugi trzysta, a Szuchow czterysta. Wziął swoje czterysta, przylepkę i dla Cezara wziął dwieście ze środka bochenka.

Tymczasem z całej stołówki zaczęła się schodzić ich brygada - aby wziąć miskę, potem już każdy zje tam, gdzie przysiadzie. Szuchow rozdaje miski, zapamiętuje, kto już

wziął, strzeże swojego kawałka tacy. W jednej z tych gęstych misek zanurzył łyżkę - znaczy zajął ją. Fetiukow wziął swoją porcję jako jeden z pierwszych i odszedł, uznał, że się dziś we własnej brygadzie nie pożywi, to już lepiej powłóczyć się po całej stołówce, patrzy, szakał, może kto co zostawi. Kiedy ktoś nie doje i odsunie od siebie miskę, bywa, że w paru naraz rzucają się na nią jak sępy.

Przeliczyli razem z Pawłem porcje - jakby się zgadzało. Dla Andrieja Prokofiewicza Szuchow podsunął miskę z gęstym, Pawło przelał bałandę do płaskiej niemieckiej menażki z pokrywką, taką menażkę można przycisnąć do piersi pod waciakiem i przenieść.

Oddali tace. Pawło zasiadł do swojej podwójnej porcji, Szuchow do swoich dwóch. Odtąd już o niczym nie mówili, nastały chwile święte.

Szuchow zdjął czapkę, położył ją na kolanach. Sprawdził łyżką jedną miskę, sprawdził drugą. Nie najgorzej, nawet trochę rybki. A w ogóle to bałanda wieczorem zawsze jest o wiele rzadsza niż rano. Rano trzeba zeka nakarmić, żeby pracował, a wieczorem i tak zaśnie, nie zdechnie.

Zaczął jeść. Najpierw po prostu wypił płyn. Kiedy ciepło rozlało się po całym ciele, wszystkie wnętrzości Szuchowa aż zadrżały w oczekiwaniu bałandy. Do-o-bre! Oto ta krótka chwila, dla której żyje zek!

Teraz już nic Szuchowowi nie przeszkadza - ani że wyrok duży, ani że dzień długi, ani to, że znowu nie będzie niedzieli. Myśli teraz: jakoś się przeżyje! Przeżyjemy wszystko, da Bóg, dożyjemy końca!

Spił gorącą ciecz z obu misek, przelał resztę z jednej do drugiej, przelał, strząsnął gęste, na koniec wyskrobał łyżką. Tak jest jak gdyby spokojniej, nie trzeba myśleć o drugiej misce, nie trzeba jej pilnować ani przytrzymywać, ani mieć na oku.

Mógł już patrzeć, gdzie chciał, zerknął w sąsiednie miski. U sąsiada z lewej - sama woda. Patrzcie, co dranie wyprawiają, a przecież to swoi, i zeki!

I zaczął Szuchow jeść kapustę z resztkami lury. Na dnie miski trafił mu się jeden ziemniaczek, w porcji Cezara. Średni sobie ziemniaczek, zmarznięty, słodkawy, trochę głąbiasty. A rybek tak jakby nie było, tylko z rzadka mignie obnażony szkielecik. Każdy taki rybi szkielecik, każdą płetwę trzeba przeżuć, trzeba z niej wysssać sok, ten sok ma swoją wartość. Oczywiście, trzeba mieć na to czas, ale Szuchow nie ma dokąd się śpieszyć, ma dziś święto, podprowadził dwie miski przy obiedzie i dwie przy kolacji. Z takiego powodu warto odpuścić inne sprawy.

Chyba żeby do Łotysza pójść po tytoń. Do jutra może tytoniu już nie być.

Szuchow zjadł kolację bez chleba. Dwie porcje i jeszcze chleb - to by było za dużo, chleb zostanie na jutro. Brzuch stary złoczyńca, nie pamięta, co było wczoraj, jutro znów się upomni.

Szuchow dojadł swoją bałandę, nie bardzo się przypatrywał, kto jest koło niego, nie było takiej potrzeby, nie liczył już na nic dodatkowego, jadł swoje własne, regulaminowe. A przecież zauważył, że po przeciwnej stronie stołu, akurat naprzeciw niego zwolniło się miejsce i usiadł tam wysoki starzec Ju-#81. Szuchow wiedział, że tamten jest z sześćdziesiątej brygady, a w kolejce przed magazynem paczek usłyszał, że właśnie sześćdziesiąta czwarta poszła dziś na Socgorodok zamiast sto czwartej, przez cały dzień przeciągała druty kolczaste, sama dla siebie budowała zonę.

Mówili Szuchowowi o tym starym, że siedzi w obozach i po więzieniach od niepamiętnych czasów, żadna amnestia go nie objęła, jak mu się jedna dziesiątka kończy, to od razu dają mu następną.

Teraz Szuchow przyjrzał mu się z bliska. Wyprostowane plecy tamtego wyróżniały się wśród wszystkich przygarbionych pleców, a kiedy tak siedział za stołem, wydawało się, że coś sobie jeszcze podłożył na ławkę. Na jego nagiej głowie od dawna nie było co strzyć, wszystkie włosy wypadły mu od tego dobrobytu. Jego oczy nie obserwowały tego, co się działo w stołówce, niewidzące patrzyły ponad Szuchowem, zapatrzone w siebie. Spokojnie jadł swoją postną bałandę wyszczerbioną drewnianą łyżką, ale nie wsadzał głowy w miskę, jak wszyscy, tylko wysoko podnosił łyżkę do ust. Nie miał ani jednego zęba, ani na górze, ani na dole, zamiast zębów żuły chleb zrogowaciałe dziąsła. Twarz miał wycieńczoną, ale przypominała ciosany ciemny kamień i nic w niej nie było ze słabości zelowy - inwalidy. Po rękach, wielkich, spękanych, poczerniałych, było widać, że niewiele dane mu było przez te wszystkie lata przesiedzieć jako priodurok. Ale było w nim coś takiego, że się nie poddał - nie położył swoich trzystu gramów chleba na brudnym, zachlapanym stole, jak wszyscy, ale na czystej, upranej szmatce.

Szuchow jednak nie miał czasu na długie obserwacje. Skończył jeść, oblizał łyżkę, wsunął ją za walonek, nacisnął czapkę, wstał, wziął oba chleby, swój i Cezara, i wyszedł. Wychodziło się ze stołówki przez inny ganek, stało tam dwu innych dyżurnych, całe ich zajęcie polegało na tym, żeby zdjąć haczyk, wypuścić ludzi i znowu założyć haczyk.

Wyszedł z napchany brzuchem, zadowolony z siebie i zdecydował, że choć zaraz zadzwonią, zajdzie jednak jeszcze do Łotysza. Nie odnosząc chleba do dziewiątego baraku ruszył wielkimi krokami w stronę baraku numer siedem.

Księżyc stał już wysoko, czysty, biały, jakby wyrzeźbiony na niebie. Niebo nadal bezchmurne. Gwiazdy gdzieś – te najjaśniejsze. Ale Szuchow nie miał czasu gapić się na niebo. Wiedział jedno: mróz nie chce zelżeć. Ktoś usłyszał od wolnych, powtarzali potem - wieczorem ma być trzydzieści stopni, a nad ranem do czterdziestu.

Słychać było skądś z bardzo daleka warkot traktora w osiedlu, a od strony szosy pozgrzytywanie koparki. I skrzyp każdej pary walonek, i ktokolwiek gdziekolwiek w łagrze szedł albo biegł.

A wiatru nie było.

Szuchow powinien był kupić samosiejkę, tak jak zawsze kupował, po rublu za kubek, chociaż na wolności taki kubek wart był trzy ruble, a gatunkowego to nawet i drożej. W katorżnym łagrze wszystkie ceny były inne, własne, niepodobne do niczego, bo pieniędzy mieć tu w ogóle nie było wolno, mało kto je miał, dużo były warte. W tym łagrze nie płacili za pracę ani kopiejki, w Ust-Iżmie Szuchow dostawał przynajmniej te trzydzieści rubli na miesiąc. Jeśli komu rodzina przysłała pieniądze pocztą, to tych pieniędzy nie dawano więźniom do ręki, tylko wpisywano je na osobiste konto. Z tego konta raz na miesiąc można było kupować w sklepiku mydło toaletowe, spleśniałe pierniki i papierosy „Prima”. Czy ci się towar podoba, czy nie podoba, na ile ci komendant podpisał zapotrzebowanie, za tyle masz kupić. Nie kupisz - pieniądze i tak przepadły, z konta już je spisano.

Szuchow miał pieniądze tylko za przypadkowe fuchy, za uszycie kapci z dostarczonych przez klienta szmat - dwa ruble, za wyłatanie waciaka także według umowy.

Barak numer jeden, inaczej niż dziewiąty, nie jest przedzielony na dwie wielkie połówki. W siódmym jest długi korytarz, w nim dziewięć drzwi, w każdym pomieszczeniu stłoczone po siedem dwupiętrowych prycz, w każdym jedna brygada. Jest jeszcze kabinka na kibel, kabinka starszego baraku. Malarze też mieszkają w oddzielnej kabinie.

Szuchow zaszedł do Łotysza. Łotysz leży na dolnej pryczy, zadarł nogi, oparł na poprzeczce, gulgocze z sąsiadem po łotewsku.

Szuchow przysiadł się do niego. Pozdrowił jak należy. Pozdrowił go i tamten, a nóg nie opuszcza. Pomieszczenie małe, wszyscy słuchają, kto przyszedł i po co. Obaj to wiedzą, więc Szuchow siedzi dalej, ano niby co słychać? Ano dziękuję. Zimno dzisiaj. A tak.

Tak Szuchow doczekał, aż wszyscy znowu zaczęli mówić. Kłóć się o wojnę w Korei, czy będzie wojna światowa z tego, że Chińczycy przystąpili, czy nie będzie. Nachylił się do Łotysza.

- Masz samosiejkę?

- Mam.

- Pokaż.

Łotysz zdjął nogi z poprzeczki, spuścił je w przejście między pryzkami, wstał. Skąpy ten Łotysz, zawsze jak napełnia kubek, to aż się trzęsie, boi się wsypać o jednego skręta za dużo.

Pokazał Szuchowowi kapciuch, rozwiązał, rozchylił.

Szuchow wziął szczyptę na dłoń, widzi, że ten sam tytoń co poprzednim razem, burawy, tak samo krojony. Podniósł do nosa, powąchał - ten sam. Ale Łotyszowi powiedział:

- Jakby jakiś inny.

- Ten sam! Ten sam! - rozsierdził się Łotysz. - Innego nigdy nie mam, zawsze ten sam.

- No dobrze - zgodził się Szuchow - nabij mi kubeczek, zapalę, to może wezmę i drugi.

Powiedział „nabij”, bo Łotysz lubi natrząść, byle wyglądało.

Łotysz wyjął spod poduszki jeszcze jeden kapciuch, pełniejszy niż tamten, wyciągnął z szafki kubek. Kubek plastikowy, ale Szuchow go sprawdzał, nie jest mniejszy od zwykłego. Sypie.

- Ale ugniataj, ugniataj! - Szuchow na niego. I sam dopycha palcem.

- Sam wiem! - Łotysz gniewnie odsuwa kubek, ugniata, ale za mocno. Znów sypie.

Tymczasem Szuchow rozpiął buszlat i wymacał w warstwie waty tylko dla niego jednego wyczuwalny papierek. Oburącz przepycha go przez watę, przepycha, aż przepchnął do maleńkiej dziurki, do rozdarcia w zupełnie innym miejscu, ledwie dwa razy załapanego igłą. Przepchnął papierek aż do tego rozdarcia, rozerwał nitki paznokciami, złożył papierek jeszcze raz na pół - choć i bez tego był złożony po wielokroć - wy dostał przez dziurkę. Dwa ruble. Stary banknot, nie zaszeleści.

A w pokoju wrzeszczą:

- Uża-ali się nad wami słoneczko nasze wąsate! On bratu rodzonemu nie wierzy, a co dopiero wam, głuptaki!

Co jest dobre w katorżnym łagrze, to to, że wolności tu od groma. W Ust-Iźmie powiedziałaś szeptem, że na wolności nie ma zapalek, z miejsca sadzają, nową dychę masz jak w banku. A tu możesz z najwyższej pryczy krzyczeć, co tylko chcesz, kapusie donoszą, oper dawno machnął ręką.

Tylko że nie ma tu kiedy za wiele rozprawiać...

- Ej, sypiesz, a nie nabijasz - poskarżył się Szuchow.

Szuchow wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swój kapciuch, przesyłał do niego samosiejkę z kubka.

- Dobra - zdecydował. Nie chciał pierwszego upragnionego papierosa palić w pośpiechu. - Nabij jeszcze jeden.

Potargował się trochę, przesyłał do kapciucha i drugi kubek, oddał dwurubłówkę, skinął Łotyszowi i poszedł.

Wyszedł na dwór i od razu biegiem, biegiem do siebie. Żeby nie przegapić Cezara, jak wróci z paczką.

Ale Cezar siedział już na swojej dolnej pryczy i lubował się swoją paczką. Wszystko, co przyniósł, porozkładał na pryczy i na szafce, ale światło nie padało tu wprost od lampy, prycza Szuchowa przesłaniała żarówkę, było ciemnowo.

Szuchow schylił się, wszedł między pryczę kapitana a pryczę Cezara, podał na wyciągniętej dłoni chleb od kolacji:

- Wasz chleb, Cezar Markowicz.

Nie powiedział: „No co, dostaliście?”, boby to była aluzja, że zajął kolejkę i ma teraz prawo do swojej doli. I tak wiedział, że je ma. Ale nawet po ośmiu latach łagru nie został szakalem, im dłużej siedział, tym mocniej się trzymał.

Tyle że nie mógł niczego nakazać swoim oczom. Jego oczy, jastrzębie oczy zeka, prześliznęły się w mig po całej rozłożonej na pryczy i na szafce Cezarowej paczce i choć nie wszystko było poodwijane z papierów, choć nie wszystkie woreczki były rozwiązane, to szybkie spojrzenie i wprawny węch upewniły Szuchowa, że Cezar dostał kiełbasę, mleko skondensowane, grubą wędzoną rybę, słoninę, pachnące sucharki, jakieś ciasteczka o innym zapachu, dwa kilo kostkowego cukru i jeszcze chyba masło, dalej papierosy, tytoń fajkowy i jeszcze coś, i jeszcze coś.

Wszystko to zauważył w tej krótkiej chwili, kiedy mówił:

- Wasz chleb, Cezar Markowicz.

A Cezar, podniecony, rozczochrany, jakby pijany (każdy tak się zachowuje, kiedy dostaje paczkę żywnościową) machnął ręką na chleb.

- Weź go sobie, Iwan Denisycz.

Bałanda i dwieście gramów chleba to już była cała kolacja i chyba cała dola Szuchowa z Cezarowej paczki.

Więc Szuchow z miejsca zubożył, nie spodziewał się niczego więcej z tego, co dostał Cezar. Nie ma nic gorszego niż rozjątrzyć brzuch nadaremnie.

Czteryście chleba i dwieście, i w sienniku co najmniej dwieście. Wystarczy. Dwieście zje teraz, jutro rano wrąbie pięćset pięćdziesiąt, czterysta weźmie do pracy - żyć nie umierać! A tamten, w sienniku, niech jeszcze sobie poleży. Dobrze, że zdążył zaszyć - w siedemdziesiątej piątej, popatrz, ukradli z szafki, możesz się teraz skarżyć, komu chcesz.

Niektórzy rozumują tak: ten, który dostał paczkę, to bogacz, możesz z niego ciągnąć! A gdy się zastanowić - łatwo przyszło, łatwo pójdzie. Zdarza się, że i tacy, nim dotrwają do nowej paczki, marzą o dodatkowej porcji kaszy. I proszą o peta. Trzeba dać strażnikowi, brygadziście, a funkcyjnemu z magazynu jakże nie dać? Nie dasz, to na drugi raz tak zachachmęci, że przez tydzień nie znajdziesz paczki na liście. Wszystkie produkty trzeba zanieść do przechowalni, Cezar jutro z samego rana zanieś tam w worku i swoją paczkę (przed złodziejami, przed kipiszami, a poza tym taki jest rozkaz komendanta) - magazynierowi przechowalni też trzeba dać; jeśli mu nie odpalić, jak się patrzy, to on i tak po kawałeczku więcej podkradnie.

Siedzi tam, jak szczur, zamknięty przez cały dzień z cudzym żarciem, jak go sprawdzisz? No, jeszcze za różne przysługi, jak choćby Szuchowowi? A łaziebniemu, żeby dał porządną bieliznę? Dużo niedużo, ale dać trzeba. A fryzjerowi za to, że goli „z papierkiem” - to znaczy, że wyciera brzytwę w papierek, a nie o twoje gołe kolana - było nie było te dwa-trzy papierosy też trzeba odżałować. A w Kwcz - żeby listy do ciebie odkładali osobno, żeby ich nie gubili? A jeśli zechcesz zarwać dzionek, poleżeć sobie w zonie do góry brzuchem, to musisz coś podrzucić doktorowi. A jakże nie poczęstować sąsiada, który dzieli z tobą szafkę, jak kapitan z Cezarem? Przecież ten sąsiad każdy twój kęs liczy, choćbyś całkiem nie miał sumienia, złamiesz się, dasz.

Niech więc zazdroszczą ci, którym się wydaje, że cudza rzepa większa, ale Szuchow zna życie i na cudze żarcie zębów nie szczyrzy.

Tymczasem rozzuł się, wlaźł do siebie na górę, wyjął kawałek stali z rękawicy, obejrzał go i postanowił, że jutro wyszuka dobry kamień, żeby zaostrzyć nim stal na szewski nóż. Jeżeli przyłoży się rano i wieczorem, to po czterech dniach będzie miał świetny ostry nożyk z zakrzywionym ostrzem.

A na razie, do rana, trzeba tę stal gdzieś schować. Najlepiej wcisnąć pod poprzeczkę na własnej pryczy. I póki kapitan jeszcze nie przyszedł, śmieci nie będą mu z góry leciały na twarz, Szuchow podniósł u wezglowia ciężki, nie wiórami, ale trocinami napełniony siennik, zaczął chować stal.

Widzieli to jego sąsiedzi z górnego piętra, baptysta Aloszka, a obok, na sąsiedniej pryczy, dwaj bracia Estończycy. Ale ich Szuchow się nie bał.

Przez barak przeszedł pochlipując Fetiukow. Zgarbiony. Umazany na twarzy krwią. Widocznie znowu go pobili przy tych miskach. Nie patrząc na nikogo i nie ukrywając łez przeszedł koło całej brygady, wlaź na górę, schował twarz w siennik.

Prawdę mówiąc, to go szkoda. Nie dożyje wolności. Nie umie się postawić.

Nadszedł kapitan, wesolutki, przyniósł menażkę specjalnie zaparzonej herbaty. W baraku stoją dwie beczki z herbatą, ale co to za herbata? Tyle że ciepła, zabarwiona, ale lura, śmierdzi beczką, mokrym butwiejącym drewnem. Dobra dla zwykłych roboli. A Bujnowski wziął od Cezara garść porządnej herbaty, wsypał ją do menażki, pobiegł po wrzątek. Jaki zadowolony, zasiada na dole przy szafce.

- O mało co nie poparzyłem palców! - chełpi się.

Tam, w dole, Cezar rozkłada arkusz papieru, stawia na nim jedno po drugim. Szuchow opuścił siennik, żeby nie widzieć, żeby się nie denerwować. Ale nie dają sobie rady bez niego

- Cezar stanął w przejściu, patrzy na Szuchowa, mruga:

- Denisycz!... Tego... Daj dziesięć dni!

Czyli, żeby im dać mały składany nóż. Szuchow ma taki nożyk, także chowa go w pryczy. Scyzoryk mniejszy niż palec od środkowego stawu, ale kroi, skurczybyk, słoninę grubą na pięć palców. Szuchow sam go zrobił, sam oprawił, sam ostrzy.

Sięgnął, wyjął nóż, podał.

Cezar skinął i zniknął na dole.

Taki nóż to też zarobek. Za przechowywanie noża grozi przecież karcer. Trzeba by w ogóle nie mieć sumienia człowieczego, żeby tak po prostu: daj nam nożyk, my sobie kielbasę pokroimy, a tobie wała.

Teraz Cezar znów zaciągnął u Szuchowa dług.

Jak tylko uładził się z chlebem i nożami, zaraz sięgnął Szuchow po kapciuch. Wyciągnął stamtąd szczyptę tytoniu, sprawdził, czy nie mniejsza niż ta, którą pożyczył, i poprzez przejście wyciągnął do Estończyka - dziękuję.

Estończyk rozchylił wargi, uśmiechnął się jakby i burknął coś do sąsiada - brata swego. Osobno skręcili tę szczyptę w bibułce, znaczy, że chcą spróbować, jaki to ten Szuchowowski tytoń.

No, nie gorszy niż wasz, próbujcie sobie na zdrowie! Szuchow sam by chętnie spróbował, ale jakiś zegarek gdzieś tam, w środku, mówi mu, że niewiele już zostało czasu do wieczornej kontroli. O tej porze strażnicy najczęściej pętają się po barakach. Teraz, żeby zapalić, trzeba by wyjść na korytarz, a Szuchowowi tam w górze, na własnym łóżku, jakby

cieplej. W baraku zimno, po staremu szron na suficie. W nocy zmarźnie się na kość, ale na razie można wytrzymać.

Szuchow robił to wszystko, potem zaczął pomału odłamywać chleb z dwustugramówki, ale przez cały czas chcąc nie chcąc słyszał, jak na dole, popijając herbatę, rozmawiał z Cezarem kapitan.

- Niech pan je, kapitanie, niech pan je, proszę się nie krępować. Kawalek wędzonej rybki. Z kiełbasą.

- Dziękuję, już biorę.

- Radzę posmarować bułkę masłem! Prawdziwa moskiewska bułka!

- Ajaj-aj, po prostu wierzyć się nie chce, że gdzieś pieką jeszcze bułki. Wie pan, taka nagła obfitość przypomina mi pewne zdarzenie. Przyplłynęliśmy kiedyś do Archangielska...

Na ich połowie baraku hałasowało dwustu ludzi, a przecież ucho Szuchowa wyłowiło jak gdyby dzwonienie o szynę. Nikt tego nie usłyszał. Szuchow zauważył też, że do baraku wszedł Kurnosy, strażnik, rumiany kurdupel. Trzymał w ręku świstek, po tym świstku i po jego całym zachowaniu można było poznać, że nie przyszedł łapać palaczy ani wypędzać na kontrolę, ale kogoś szuka.

Kurnosy sprawdził na świstku i zapytał:

- Sto czwarta! - gdzie?

- Tutaj - odpowiedzieli mu.

Estończycy schowali papierosa, rozgonili dym.

- Gdzie brygadzysta?

- No, czego? - odzywa się Tiurin z pryczy, ledwie nogi spuścił na podłogę.

- Czy ci, co mieli pisać wyjaśnienia, już je napisali?

- Piszą - odpowiedział Tiurin z przekonaniem.

- Powinny już być oddane.

- Trudna sprawa, mam ludzi niepiśmiennych. (To o Cezarze on tak i o kapitanie. Zuch brygadzysta, nigdy nie zapomni języka w gębie.) - Nie ma piór, nie ma atramentu.

- Trzeba, żeby były.

- Odbierają.

- Uważaj, brygadzisto, za dużo będziesz gadał, to i ciebie wsadzę! - dobrotliwie obiecuje Kurnosy. - Żeby mi jutro rano przed rozprowadzeniem wyjaśnienia były na wartowni! Ma być napisane, że wszystkie niedozwolone rzeczy zostały zdane do magazynu rzeczy osobistych! Jasne?

- Jasne.

Udało się kapitanowi - pomyślał Szuchow. A sam kapitan nic nie słyszy. Tokuje tam nad kielbasą.

- No, a teraz - powiedział strażnik - Sz-trzysta jedenaście... Masz takiego?

- Trzeba by sprawdzić na liście - kręci brygadzysta. - A bo to je kto spamięta, te wszystkie pieprzone numery? - Brygadzysta odwleka, jak może, chciałby uratować Bujnowskiego choćby na tę noc, byle przeciągnąć do kontroli.

- Bujnowski jest?

- Co? Jestem! - odezwał się kapitan spod pryczy Szuchowa, ze swojego zacisza.

Sam się jakby naprosił.

- To ty? Dobra, zgadza się, Sz-trzysta jedenaście. Zbieraj się.

- Dokąd?

- Sam dobrze wiesz.

Kapitan westchnął tylko, chrząknął. Chyba łatwiej mu przychodziło burzliwą nocą wyprowadzić eskadrę torpedowców w morze, niż teraz od przyjacielskich pogwarek iść do lodowatego bunkra.

- Ile dni? - zapytał złamanym głosem.

- Dziesięć. Szybciej, no, szybciej!

A akurat dyżurni wrzasnęli:

- Kontrola! Kontrola!

Wychodzić na kontrolę!

To znaczy, że strażnik, który przychodzi sprawdzać, już jest w baraku.

Kapitan obejrzał się - czy brać buszłat? Przecież buszłat tam i tak z niego zedną, zostawią w samym waciaku. Znaczy - trzeba iść tak, jak stoisz. Kapitan miał nadzieję, że Wołkowej zapomni, ale Wołkowej nigdy nikomu niczego nie zapomina. Nie przygotował się kapitan, nawet tytoniu w waciaku nie ukrył. A do ręki brać nie ma sensu, na kipiszu odbiorą i tak.

Mimo wszystko, póki kapitan wkładał uszanke, Cezar dał mu kilka papierosów.

- Cóż, żegnajcie, bracia - zmieszany kapitan kiwnął głową sto czwartej brygadzie i poszedł za strażnikiem. Kilku krzyknęło za nim - ten „trzymaj się!”, ten „nie daj się!” - no bo co mu jeszcze powiedzieć? Sami budowali bunkier - dobrze wie sto czwarta - ściany tam kamienne, podłoga cementowa, okienka ani-ani, a w piecu tyle tylko palą, żeby lód ze ścian stopniał i stanął kałużą na podłodze. Śpi się na gołych deskach, zęby można pogubić tak dzwonią, chleba trzysta gramów, a bałandę dają tylko na trzeci, szósty i dziewiąty dzień.

Dziesięć dni! Dziesięć dni w tutejszym karczerze, jeżeli odsiedzisz regulaminowo i do końca, stracisz zdrowie na resztę życia. Gruźlica - i nie wyjdiesz już ze szpitala.

A ci, co odsiedzieli po piętnaście dni ścisłego, ziemię gryzą.

Dopóki jesteś w baraku, dziękuj Bogu i nie leż w oczy.

- Wychodzić, liczę do trzech! - krzyczy starszy baraku. - Kto nie wyjdzie zanim policzę do trzech, tego zapiszę i przekażę obywatelowi komendantowi!

Starszy baraku to też lepszy drań. No, bo sam powiedz, zamykają go w baraku na całą noc razem z nami, a on trzyma z naczalstwem, nikogo się nie boi. Przeciwnie, wszyscy boją się jego. Jednego zakapuje nadzorowi, drugiemu sam da po mordzie. Biega za inwalidę, bo mu kiedyś oberwali w bójce jeden palec, a po mordzie widać - urka. Urka to on jest, z artykułu siedzi kryminalnego, ale dołożyli mu jeszcze i pięćdziesiąt osiem - czternaście, dlatego trafił do tego łagru.

Co mu tam, zaraz zapisze na kartce, przekaże strażnikowi - dostaniesz dwa dni karceru z wyprowadzaniem do pracy. Powolutku ciągnęli do drzwi, a teraz raptem ruszyło ich, z górnych prycz skaczą jak niedźwiedzie i pchają się do wąskich drzwi.

Szuchow trzymając w rękę upragnionego już od dawna skręta, zwinnie zeskoczył, wsunął stopy w walonki i już chciał iść, ale żal mu się zrobiło Cezara. Nie to, żeby chciał jeszcze u Cezara zarobić, szczerze mu się zrobiło żal - wyobraża sobie Cezar, że jest Bóg wie kim, a życia nie zna ani trochę. Dostał paczkę, to nie powinien się nią zachwycać, ale co prędzej zanieść do przechowalni jeszcze przed kontrolą. Mógł sobie odłożyć, co tam chciał zjeść. A teraz co zrobi z paczką? Przecież jeśli zabierze ze sobą worek, to będzie śmiechu a śmiechu na pięćset gardeł! A jeśli ją tu zostawi, to niechaj Bóg, rąbnie mu ten, który pierwszy wpadnie do baraku po kontroli. (W Ust-Iżmie rządziły prawa jeszcze sroższe, tam, jak wracali z roboty, to kryminalni zawsze wyprzedzali; nim weszli ci z końca, już wszystkie szafki były opróżnione.)

Widzi Szuchow, że Cezar zaczyna się miotać, ale już za późno. Kielbasę i słoninę pcha w zanadrze, choć tyle chce zabrać ze sobą, choć tyle uratować.

Ulitował się Szuchow i doradził:

- Czekaj, Cezar Markowicz, do końca, przytairsz się tutaj po ciemku i siedź, póki nie wyjdzie ostatni. I dopiero jak strażnik z dyżurnymi będzie obchodził prycze i zaglądał w każdą dziurę, dopiero wtedy wychodź. Powiesz, żeś chory. A ja pierwszy wyjdę i pierwszy wrócę. Tak zrobimy...

I wybiegł.

Szuchow z początku przeciskał się szparko, chronił tylko skręta, osłaniał go w dłoni. Ale w korytarzu, wspólnym dla obu połówek baraku, ani w sionce nikt już nie pchał się naprzód, cwaniacy przywarli do ściany w dwa szeregi z lewa i z prawa, i tylko w środku zostawili wolne przejście na jednego człowieka - wylaż na mróz, jakieś głupi, my sobie i tutaj możemy poczekać. I tak cały dzień na mrozie, mają jeszcze dodatkowo marznąć dziesięć minut? Nie ma głupich. Ty sobie zdychaj dzisiaj, a ja wolę jutro!

Kiedy indziej Szuchow też się tak tuli do ściany. Ale teraz wychodzi wielkimi krokami, jeszcze się stawia:

- Czegoście się przestraszyli, pridurki? Nie widzieliście syberyjskiego mrozu. Wylaż, ugrzejesz się przy wilczym słończku! Daj przypalić, chłopie!

Przypalił w sieni i wyszedł na ganek. Wilcze słończko... Tak dla żartu nazywają księżyc w tych stronach, skąd Szuchow.

A księżyc wspiął się wysoko! Jeszcze drugie tyle - i już będzie na samej górze. Niebo białe, aż zielonkawe, gwiazdy z rzadka, jasne. Błyszczą biały śnieg, ściany baraków też są białe, latarnie światła prawie nie dodają.

Przed tamtym barakiem gęstnieje czarny tłum, wychodzą na zbiórkę. I przed następnym. A od baraków słychać nie tyle rozmowy, co skrzypienie śniegu.

U podnóża schodków stało twarzami do drzwi pięciu ludzi, za nimi jeszcze trzech. Obok tych trzech w drugiej piątce stanął Szuchow. Można tu sobie postać, jeśli przedtem zjadło się chleb, ma się w zębach papierosa. Dobry tytoń, Łotysz nie oszukał, w miarę mocny, aromatyczny.

Powolutku, po jednym, wychodzą przez drzwi, za Szuchowem stoją już dwie czy trzy piątki. Teraz pieklą się ci, co już wyszli - dlaczego tamte bydlaki tłoczą się w korytarzu, czemu nie wychodzą. Przez nich marzniemy.

Żaden zek nigdy nie widzi zegarka na własne oczy, a i po co tu komu zegarek? Zek musi tylko wiedzieć, czy prędko będzie pobudka. Ile do rozprowadzenia? Do obiadu? Do fajrantu?

Ale mówią, że wieczorna kontrola jest o dziewiątej. Tylko że nigdy nie kończy się o dziesiątej, zwłóczą, liczą po dwa i po trzy razy. Wcześniej niż o dziesiątej nie zaśniesz. A pobudka powiadają, że o piątej. Nic dziwnego, że Mołdawianin zasnął dziś przed fajrantem. Zek gdzie się tylko zagrzeje, tam od razu zasypia. Przez tydzień nazbiera się tego nie dospanego snu, więc jeśli nie popędzą do roboty we wszystkie niedziele, to baraki śpią pokotem cały dzień.

Ech, sypnęli się zeki z ganku, ależ sypnęli! To starszy baraku i strażnik spychają ich od tyłu! Dobrze im tak, bydlakom!

- Coo? - krzyczą do nich pierwsze szeregi. - Kombinujecie ścierwa! Z łajna śmietanę zbieracie? Dawno już było wyjść, już by nas policzyli.

Cały barak wypędzono już na dwór. W baraku jest czterystu ludzi, osiemdziesiąt piątek. Ustawili się wszyscy w długą kolumnę, czoło stoi jak należy, piątkami, a tam dalej - jak popadnie, bałagan.

- Ustawić się tam, na końcu! - krzyczy ze schodków starszy baraku.

A wała tam, nie chcą się ustawiać, cholery.

Wyszedł Cezar, pokurczony, symulując chorobę, za nim dwu dyżurnych z naszej połowy baraku, dwu z tamtej i jeszcze jeden kulawy. Stanęli jako pierwsza piątka tak, że Szuchow znalazł się w trzeciej. A Cezara pogonili na koniec.

Wyszedł na ganek strażnik.

- Piątkami ustaw się! - krzyczy do tych na końcu, gardło ma zdrowe.

- Pią-ątkami ustaw się! - woła starszy baraku, gardło ma jeszcze zdrowsze.

Nie ustawiają się, ażeż ich!

Starszy baraku zbiegł z ganku, przeklina, i lu go, i lu w ucho, i po plecach!

Ale uważa kogo. Tylko potulnych tłucze.

Ustawili się. Wrócił. I razem ze strażnikiem:

- Pierwsza! Druga! Trzecia!...

Jak wywołują piątą, to ta od razu co sił w nogach - do baraku. Już się na dziś rozliczyli z władzą.

Rozliczyliby się, gdyby nie było drugiego liczenia. Te darmozjady, jełopy, gorzej rachują niż byle pastuch, pastuch choćby niepiśmienny, jak pędzi stado, to wie, czy ma wszystkie cieleta. A tych wciąż uczą, ale bez żadnego pożytku.

Zeszłej zimy w tym łagrze w ogóle nie było suszarek, obuwie wszyscy trzymali nocą w baraku, wtedy i dwa, i trzy, i cztery razy wyganiali na dwór, żeby sprawdzać. Już się nikt nie ubierał, wychodzili poowijani w koce. W tym roku wybudowali suszarki, nie dla wszystkich wystarcza, ale co trzeci dzień każda brygada suszy walonki. Więc teraz po raz drugi liczą w barakach, przepędzając z jednej połowy do drugiej.

Szuchow nie wbiegł pierwszy, ale nie spuszczał oczu z pierwszego. Dobięł do pryczy Cezara, usiadł. Szybko ściągnął walonki, wspiął się na pryczę, stamtąd ustawił je na piecu. Tutaj kto pierwszy, ten lepszy.

I z powrotem, do pryczy Cezara. Siedzi, podwinął nogi, jednym okiem patrzy, żeby nie rąbnęli Cezarowego worka spod wezglowia, drugim żeby ci, co szturmują piec, nie zrzucili jego walonek.

- Ej! - trzeba było krzyknąć.

- Ty! Rudy! A jeśli walonkiem dam po mordzie?! Swoje stawiaj, cudzych nie rusz!

Walą zeki do baraku, walą. W dwudziestej brygadzie krzyczą:

- Zdawać walonki!

Teraz wypuszczają ich z walonkami z baraku, barak zamkną. A potem będą biegali:

- Obywatelu naczelniku!

Wpuśćcie do baraku!

A strażnicy poschodzą się do baraku komendantury, będą podliczali na dykcie tę swoją buchalterię, czy który nie uciekł, czy są wszyscy.

Szuchowa to dziś nic nie obchodzi. Oto już i Cezar przemyka się do siebie między pryczami.

- Dziękuję, Iwan Denisycz!

Szuchow skinął mu i szybko jak wiewiórka wspiał się na górę. Można teraz dojeść dwustugramówkę, można zapalić drugiego papierosa, można i spać.

Ale udany dzień tak Szuchowa rozochocił, że i spać mu się jakby nie chce.

Ze ścieleniem Szuchow nie ma kłopotu - zerwać z siennika czarniawy koc, położyć się na sienniku (na prześcieradle Szuchow nie spał chyba od czterdziestego pierwszego roku, odkąd poszedł z domu, dziwne mu nawet, po co baby robią sobie kłopot z prześcieradłami, tylko pranie niepotrzebne) - głowę oprzeć na poduszce ze strużyn, nogi zawinać w waciak, buszlat narzucić na koc.

Dzięki ci, Panie Boże, jeszcze jeden dzień przeminął!

Dzięki ci, że spać przyszło nie w karcerze, tu jeszcze można wytrzymać.

Szuchow ułożył się głową ku oknu, a Aloszka na tej samej pryczy, tylko poprzeczna deska ich dzieli - głowę ma z drugiej strony, żeby mu światło żarówki dochodziło. Znowu czyta Ewangelię.

Żarówka jest niedaleko od nich, można czytać, można nawet szyć.

Aloszka usłyszał, że Szuchow głośno pochwalił Pana Boga, odwrócił się:

- Przecież, Iwan Denisycz, dusza wasza chciałaby pomodlić się do Boga. Czemu jej nie pozwalacie?

Spojrzał Szuchow na Aloszkę z ukosa. Oczy błyszczą jak dwie świece. Westchnął.

- Dlatego, Aloszka, że modlitwy te, to jak podania: albo nie dochodzą, albo skarga jest nieuzasadniona.

Przed barakiem komendantury są cztery takie opieczetowane skrzynie, raz na miesiąc opróżnia je oper. Wielu wrzuca do tych skrzynek podania. Czekają, liczą dni, już za dwa miesiące, już za miesiąc przyjdzie odpowiedź.

A odpowiedzi nie ma. Albo: „... skarga nieuzasadniona”.

- To dlatego, Iwan Denisycz, żeście się modlili mało, źle, nie dość żarliwie. Dlatego nie wysłuchano waszej modlitwy. Modlić się trzeba zawsze i wszędzie! Bo zaprawdę, gdybyście tej górze rzekli: podnieś się, a rzuć się w morze, stanie się...”(Mateusz, rozdz. XXI, wiersz 21. Biblia święta, 1958 (tzw. „Biblia Gdańska”))

Szuchow uśmiechnął się i skrzywił jeszcze jednego papierosa. Odpalił od Estończyka.

- Daj spokój, Aloszka. Nie widziałem ja, żeby kto góry przenosił. No, prawdę mówiąc, to w ogóle gór nie widziałem. A u was tam, na Kaukazie, cały wasz klub baptystów modlił się i co, przenieśliście choć jedną?

Też biedacy - komu to przeszkadzało, że się modlili do Boga? Wszystkim im równo wlepili po dwadzieścia pięć. Bo czas teraz taki, że wszystkim dają dwadzieścia pięć, według jednej miary.

- Myśmy się o to nie modlili, Denisycz - Aloszka nie ustępuje. Podsunął się ze swoją Ewangelią bliżej, twarzą w twarz. - Ze wszystkich rzeczy ziemskich i doczesnych o jedną tylko Pan nasz modlić się dozwolił, o chleb nasz powszedni: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!”

- To znaczy rację? - zapytał Szuchow.

A Aloszka swoje, oczyma przekonuje bardziej niż słowami, a jeszcze za rękę łapie, głaszcze:

- Iwan Denisycz! Modlić się trzeba nie o to, żeby przysłali paczkę, ani nie o dodatkową miskę bałandy. Co dla ludzi cenne, wstrętne jest Bogu! Modlić się trzeba o sprawy ducha, o to, żeby Pan zdjął z serca naszego niegodziwość wszelką...

- Posłuchaj lepiej. Pop u nas w cerkwi połomieńskiej...

- Daj spokój z twoim popem! - prosi Aloszka, z bólu aż czoło zmarszczył.

- Nie, posłuchaj. - Szuchow przypodniósł się na łokciu. W Połomnie, w naszej parafii, nie ma bogatszego człowieka niż pop. Ot, na przykład, jak wzywają, żeby pokryć dach, to od ludzi bierzemy po trzydzieści pięć rubli za dniówkę, a od popa sto. I żeby choć okiem mrugnął! Ten pop połomieski płaci alimenty trzem babom w trzech różnych miastach, a żyje z czwartą. I archijerej obwodowy chodzi mu przy nodze, nasz pop nieźle archijerejowi daje w

łapę. A wszystkich innych popów, ilu ich już przysyłali, wygryza, z nikim nie chce się dzielić...

- A po cóż ty mi o popie?

Prawosławna cerkiew odeszła od Ewangelii. Ich nie wsadzają, bo wiary silnej w nich nie ma.

Szuchow spokojnie patrzył, paląc, na wzburzenie Aloszki.

- Alosza - odsunął rękę baptysty i dmuchnął mu dymem w twarz. - Ja przecież nie jestem przeciw Bogu, chyba rozumiesz. Z chęcią w Boga wierzę. Ale nie wierzę w raj i w piekło. Dlaczego uważacie nas za przygłupków, dlaczego nam obiecujecie i piekło, i raj? To mi się właśnie nie podoba.

Szuchow znowu ułożył się na wznak, za głowę ostrożnie zrzucił popiół pomiędzy pryczę i okno, tak żeby kapitanowi nie spalić rzeczy. Zamyślił się, nie słyszy, co tam mamrocze Aloszka.

- A w ogóle - zdecydował - żebyś się nie wiem, ile modlił, to i tak ci wyroku nie skrócą. Od gwizdka do gwizdka swoje odsiedzisz.

- Nie o to trzeba się modlić! - przeraził się Aloszka. - Co ci z wolności? Na wolności resztki twojej wiary zarosną cierniami! Ciesz się, że jesteś w więzieniu! Tutaj masz dosyć czasu, żeby pomyśleć o swojej duszy! „Tedy powiedział Paweł:

Co czynicie płacząc, a trapiąc serce moje? Albowiem ja gotówem nie tylko być związany, ale i umrzeć w Jeruzalem, dla imienia Pana Jezusowego.” (Dzieje Apostolskie - rozdz. 21, wiersz 13. Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka z r. 1599, wyd. z roku 1966).

Szuchow milcząc patrzył w sufit. Sam już nie wiedział, czy chce wolności, czy nie chce. Z początku bardzo za nią tęsknił, liczył co wieczór, ile dni od wyroku już minęło, ile jeszcze zostało. A potem mu się sprzykrzyło. A potem się wyjaśniło, że takich jak on nie puszczają do domu, że gonią na zesłanie. A gdzie będzie miał lepsze życie, tu czy tam, wcale nie wiadomo.

Tylko o jedno chciałby Boga prosić - żeby wrócić do domu.

A do domu nie puszczą...

Aloszka nie kłamie i z głosu jego, i z jego oczu widać, że chętnie siedzi w więzieniu.

- Widzisz, Aloszka - objaśnia mu Szuchow - ładnie to jakoś tak u ciebie wychodzi. - Chrystus kazał ci siedzieć, za Chrystusa usiadłeś. A ja za co siedzę? Za to, że się w czterdziestym pierwszym nasi nie przygotowali do wojny, tak, za to? A co ja temu jestem winien?

- Jakoś długo nie ma drugiej kontroli - warknął Kildigs ze swojej pryczy.

- Ta-ak! - zauważył Szuchow. - To by warto węglem w kominie zapisać, że drugi raz nie liczą - i ziewnął. - Trzeba spać.

I w tejże chwili w przycichającym już, uspokojonym baraku usłyszeli łomot skobla na zewnętrznych drzwiach. Z korytarza wbiegło tych dwu, którzy odnosili walonki, krzyczą:

- Jeszcze raz będą liczyć!

Już i strażnik w ślad za nimi:

- Przejść na tamtą połowę!

Niektórzy już nawet spali! Mrucząc zaczęli wstawać, szukając stopami waleńków (mało kto w kałesonach, watowanych spodni nikt na noc nie zdejmuje, bez nich nie uleżysz pod kocem, skostniejesz).

- Tfu, przekłęci! - zaklął Szuchow. Nie zdążył jeszcze zasnąć, więc nie bardzo się złościł.

Cezar wyciągnął do góry rękę i położył na prycy Szuchowa dwa ciasteczka, dwie kostki cukru i plasterek kiełbasy.

- Dziękuję, Cezar Markowicz - Szuchow wychylił się na dół, w przejście. - A no dajcie mi ten woreczek tu na górę, pod poduszką będzie bezpieczniejszy.

(Z górnej prycy przechodzący nie ściągnie tak łatwo, a i kto tam będzie szukał u Szuchowa?)

Cezar podał Szuchowowi na górę biały zawiązany woreczek. Szuchow wrzucił go pod siennik, zaczekał, aż wygonią jak najwięcej zeków, chciał jak najkrócej stać na bosaka w korytarzu. Ale strażnik ryknął:

- No, co tam?! W kącie!

Więc Szuchow miękko na bosaka zeskoczył na podłogę - walonki z onucami tak dobrze były ustawione na piecu, że żal było je zdejmować. Ileż to kapci uszył - wszystko dla innych, sobie nie zrobił. Ale jest przyzwyczajony, a to potrwa niedługo.

Kapcie zresztą także odbierają, jeśli znajdą je u kogoś w dzień.

W tych brygadach, które zdały walonki do osuszenia, dobrze jeśli ktoś wyjdzie w kapciach, większość biegnie tylko w zamotanych onucach albo boso.

- No! No! - ryczy strażnik.

- Przylać wam, ścierwa? - starszy baraku za nim.

Przepędzili wszystkich na tamtą połowę baraku, ostatni tłoczą się w korytarzu, Szuchow też stanął tam, przy ścianie komórki z kibelem. Pod nogami wilgotna podłoga, dołem lodowato ciągnęło z sieni.

Przemonili wszystkich i starszy baraku ze strażnikiem raz jeszcze obszedł, patrzą, czy się kto nie schował w ciemnym kącie i nie śpi. Jak się nie doliczą - będzie źle, jak się przeliczą - będzie źle, wszystko od nowa. Obeszli całą salę, zawrócili do drzwi.

- Jeden, dwu, trzech, czterech... - teraz już szybko przepuszczają po jednym. Szuchow wcisnął się jako osiemnasty. Biegiem do swojej pryczy, zarzucił nogę na poprzeczkę, hop! - i już jest na górze.

Dobra. Znowu wsunął stopy w rękaw waciaka, na wierzch koc, na to buszlat, no to śpimy! Teraz będą jeszcze całą tamtą połowę baraku przeganiać na naszą, ale to nie nasze zmartwienie.

Wrócił i Cezar. Szuchow podał mu na dół woreczek.

Wrócił Aloszka. Niodorajda, wszystkim pomaga, a sam nie umie zarobić.

- Masz, Aloszka! - dał mu jedno ciasteczko.

Aloszka uśmiechnął się.

- Dziękuję! Sami nie macie!

- Jedz!

Sami nie mamy, ale zawsze jakoś sobie zapracujemy.

A sam wziął do ust kawałek kielbasy. Zębami ją! Zębami! Mięso! I sok mięsny, prawdziwy.

Aż tam, w brzuchu, go poczuł.

I - po kielbasie.

Resztę Szuchow postanowił zjeść przed rozprowadzaniem.

Przykrył się kocem z głową, cienkim, brudnym kocem, już nie nasłuchując, jak tłoczą się pomiędzy pryczami zeki z tamtej połowy baraku, czekając, aż przeliczą i ich.

Zasypiał Szuchow w pełni zadowolony. Wiele mu się tego dnia udało: nie poszedł do karceru, brygady nie pognano na Socgorodok, przy obiedzie podprowadził kaszę, brygadzysta dobrze załatwił normę, dobrze się Szuchowowi murowało, nie podpadł na kipiszu ze swoim kawałkiem stali, wieczorem zarobił u Cezara, kupił tytoń. I nie zachorował, przetrzymał.

Minął dzień niczym nie zamącony, nieomal szczęśliwy.

W jego wyroku było takich dni od gwizdka do gwizdka trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt trzy.

Z powodu lat przestępnych doszły trzy dni dodatkowe...

WYJAŚNIENIE NIEKTÓRYCH TERMINÓW

1 1 42 0 2 108 1 2a 1 32 1

Buszlat - gruby, długi waciak

Gpu - Gławnoje

Politiczeskoje Uprawlenje - policja polityczna

Kipisz - rewizja

Kum - patrz oper

Kwcz - Kulturalno-Wospitatielnaja

Czast' - sekcja w łagrze zajmująca się działalnością kulturalno-wychowaczą

Naczalnik režima – oficer odpowiedzialny za wewnętrzny regulamin łagru

Oper – operatiwnyj upołnomoczennyj albo operupołnomoczennyj - pełnomocnik służb bezpieczeństwa lub spraw wewnętrznych w łagrze

Ppcz - Płanowo-Proizwoditielnaja Czast'

- Sekcja Planowania i Produkcji Pridurok - więzień funkcyjny

Stukacz - kapuś

Zek - zakliuczonnyj - więzień

Zona - teren obozu